

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III Warszawa, 6 lipca 1947 r. Nr 27 (84)

L. Brodowski: Przelamanie sceptycyzmu; K. W. Zawodziński: Krytyka antykrytyki i „dezercja krytyków“; J. Siwkowska: Kolej w Warszawie 100 lat temu; P. Grzegorzczak: Norwid w powieści Malewskiej; St. Podlewski: Przemarsz przez piekło.

Juliusz Nowak - Dłużewski

TRZECIA REFORMA SPOŁECZNA

Sporadycznie dochodzi u nas do dyskusji nad sprawami wychowania szkolnego. Zainteresowania nimi w naszej prasie nie mają charakteru ciągłego; widocznie nie układają się one w naszej świadomości na równym poziomie z zagadnieniami natury politycznej czy gospodarczej, które kształtują oblicze świata dzisiejszego. Jeżeli się odzywają głosy w sprawach szkoły i wychowania, są to głosy o charakterze niejako marginesowym w całokształcie spraw naszego życia. Najwięcej może czujności zdradza tu Kuźnica, a właściwie jej redaktor naczelny, którego uwagę ta dziedzina życia zaprzęta więcej z racji może jego funkcji parlamentarnych.

Z całości rozważań ostatnich miesięcy nad sprawami szkoły da się wydedukować troska publicystów w obliczu kryzysu, który szkolnictwo nasze przeżywa na odcinku pracownika szkolnego. Stwierdzić tu można dwa momenty, charakteryzujące kryzys dostępalny.

Dowiadujemy się więc od czasu do czasu o faktach lub innej ilości nauczycieli zawodowych, czynnych w szkolnictwie, którzy opuścili swój zawód, aby pracować w innym. Cyfry są niekiedy zastanawiające, niekiedy wprost oszołamiące. Obejmują ludzi, którzy szukają lepszych warunków bytu od tego, który znaleźli na gruncie swego zawodu właściwego. Możemy ich więc nazwać dezertarami, jeżeli odejmiemy temu wyrazowi jego tradycyjne pejoratywne znaczenie; nie mamy chyba prawa obciążać nim tej kategorii „dezertarów“.

Czasami — i to już częściej — czyta się o dającym dużo do myślenia naszym corps enseignant, który nie odpowiada ideologii rzeczywistości naszych czasów, nie nadąża, czy raczej nie nadąża za nią duchowo. Na zwiemy ten kontyngent pracowników szkolnych, nie wchodzą w tej chwili w sprawę merytoryczności i słuszności zarządu, maruderami; posługujemy się jak i poprzednio zapożyczeniami słownika wojennego, bo przecież mowa jest o takiej pozycji na reducie życia narodu, na której obecnie, w mało spokojnej epoce wielkich przemian, toczy się również bój o pewne większe, aczkolwiek mało powszechnie dostępalne wartości naszej kultury. Zarzutem „maruderstwa“ obciąża się przeważnie przedstawiciele szkolnictwa średniego i wyższego. Taki jest tenor niektórych artykułów Kuźnicy, w tym również kierunku posła enuncjacja Ministra Skrzyszewskiego w jego ostatnim krakowskim odczycie o roli nauczyciela i szkoły. Jak wynika z tejże enuncjacji, wolne jest od tego zarzutu nauczycielstwo szkół powszechnych, które „związało się z nurtem demokratycznym“.

Dezertarstwo, o jakim mowa, jest faktem stwierdzonym i wciąż jeszcze stwierdzanym. Maruderstwo ma charakter szerszy i głębszy, niż to da się wywnioskować z głosów publicystyki i oświadczeń kierowników szkol-

nictwa. Nie posiada ono bowiem charakteru politycznego: sięga dalej i obejmuje sferę ogólnej sprawności nauczyciela, wydajności jego pracy, co się nierozdzielnie łączy z kryzysem

osobowości nauczyciela szkoły dzisiejszej. Bo kryzys szkoły to kryzys w pierwszym rzędzie osobowości pracownika szkolnego. Stan, jaki tu zapamiętał, musi budzić poważne obawy, które pozwalają go zakwalifikować, spokojnie, bez niepotrzebnego rozdzierania szat, jako groźne zjawisko społeczne. Chciałbym w tej chwili zatrzymać się tyl-

ko na szkolnictwie średnim, nad którym stawia się znak zapytania; analizę dzisiejszego nauczyciela szkoły wyższej przeprowadzono już (nie wchodzę w to, czy ścisła czy nieścisła) gdzie indziej i kiedy indziej.

Nie jest sprawą obojętną, kto uczy i kto ma uczyć w szkole. Już przed wojną nie mieliśmy dostatecznie licznych i wystarczających kadr nauczycielskich w szkole średniej. Jeszcze quantum magistrów filozofii, którzy napływali do tej szkoły, pozwalało na pokrycie bieżących braków personalnych; było tak zwłaszcza w okresie tzw. nadprodukcji inteligencji, okresie zresztą bardzo krótkim. Gorzej było z jakością kadr nauczycielskich, która w wyniku długotrwałych procesów społecznych ewoluowała w kierunku ujemnym.

Pewną ilość pracowników szkół średniej odbierało szkolnictwo wyższe, może mało dostrzegalną kwantytatywnie, ale łatwą do uchwycenia jako kościwo. Działo się w tym wypadku tak, jak, powiedzmy, z mobilizacjami przedstawicieli stanu mieszczańskiego w dawnej Polsce; łatwo dostrzec, że mobilizacje dostarczały warstwę szlacheckiej ludzkiej tegich, przodujących w warstwy miejskiej, odbierając ich jednocześnie miastom. Nie bierze się tu pod uwagę oczywistych awansistów, którzy właściwy dyplom otrzymywali tylko za pieniądze, nie za zasługi społeczne.

Pewna ilość nauczycieli wychodziła ze szkół średniej do wyższej lub krótszej praktyce, przerzucając się do innych zawodów, życiowo łatwiejszych czy też więcej dochodowych. I w tym wypadku, jak w poprzednim odpyływo dotyczy ludzi rzutkich, przedsięwziętych, obrotowych, a więc ludzi z takimi dyspozycjami duchowymi, których obecność w pracy szkolnej należałoby uznać raczej za pożądaną i pożyteczną.

W obu wypadkach mamy więc do czynienia z dezercją (znówu bez pejoratywnego zabarwienia uczuciowego tego wyrazu): w pierwszym — dla awansu społecznego, w drugim — dla awansu materyjnego, ekonomicznego, który w świadomości naszego społeczeństwa dawał jednostce jednoczesny awans społeczny. Gra warta była świeczki.

W każdym razie szkoła odrzucała mniej od siebie takich jednostek, które — mimo przygotowania zawodowego — nie wykazywały minimum sprawności, uzdolnień pedagogicznych i wychowawczych (minimum to — Bogiem a prawdą — zwłaszcza jeżeli chodzi o najtudniejsze wymagania, wymagania uzdolnień wychowawczych — nigdy u nas nie było za wysokie, w przeciwieństwie choćby do takiej Szwecji).

W całym tym rachunku sumienia przeszłości nie należy zapominać o grupie tzw. eufonicznie i nieścisłe idealistów, których mieliśmy wszędzie a więc i w szkole i którzy psychologicznie nie ulegali. Ci zresztą byli w wielkiej mniejszości, mniejszości znaczącej, w ogólnej masie pracowni-

Oświadczanie Jego Em. Ks. Prymasa Polski w sprawie odbudowy Kościołów Warszawy

W męczące dni, gdy nad Warszawą ryczała groza zniszczenia: „zburzcie, zburzcie ją do cna“ (Ps. 36, 7), zwała się na świątynie stolicy zapałczywość wojującego bezbożnictwa. Pędziesiąt pięć warszawskich kościołów i kaplic publicznych legło w gruzach. Co wiara przodków była wzniosła na chwałę Stwórcy, rozpadło się w żalosne zwaliska, z których wylerały strzępy sędziwych wież i murów, szczątki rozdartych naw i kopuł, oberwane fragmenty absyd, wiszące płaty poszarpanych sklepień. Rumowiska zmiążdżyły i przywały ołtarze, pomniki pokoleń, zabytki budownictwa i kultury. Nierwczeski pogrom świętości dokonały celne łańcuchy bomb lotniczych, precyzyjny ogień dział, rozróżnił i systematycznie zakładane naby kruszące.

Warszawa pozostała bez kościołów i ołtarzy. Ale kult boski zamrzeć w niej nie może. Żadna furia bezbożnictwa, żadne klęski dziejowe nie skruszą tu świątyni wiary i Ducha Pańskiego w gorących sercach.

Przyspieszona odbudowa kościołów Warszawy staje się więc jednym z najpilniejszych zadań mojego pasterzowania w powojennej stolicy. Nie może pozostać bez świątyni Warszawa, która za boże jutro narodu skrwawiła się jak żadne inne miasto polskie. Nie może zabraknąć miejsca w kościołach pokoleniu, które tu za wolność Ojczyzny i wiary konało. Stolica, złożony z siebie ofiarę całopalną, nie chce być martwą popielnicą swych bohaterów. Z bożych mocy chce się odrodzić dla przyszłych pokoleń. Aby swemu życiu religijnemu nadać rytm nowoczesny, domaga się swych kościołów, w których by każdy mieszkaniec miał możność wspólnej i prywatnej modlitwy.

Powołałem do życia „Radę Prymasowską dla odbudowy kościołów Warszawy“, składając w jej ręce nie tylko ogólne planowanie rekonstrukcji świątyni stołecznych, ale także badanie rozległych zagadnień związanych z tym historycznym przedsięwzięciem. Biegłość i powaga jej członków poręczają fachowość prac Rady, która obowiązki swoje spełnia w duchu honorowej służby bożej.

Pozostaje sprawa funduszy. Muszą być z konieczności wielkie i muszą być zebrane w arcy-trudnym okresie nowojennym. Muszą być darem Warszawy i kraju. Warunki tak się składają, że odbudowa kościołów warszawskich dokonać się może i powinna ofiarą i rękami całego polskiego ludu. Wtedy będzie świadectwem naszej prawdy religijnej, wyrazem katolickiej woli i pragnień Polski Chrystusowej.

Apeluję przeto do ukochanych a gorących katolików stolicy, by nie ustawali w szlachetnym współzawodnictwie w odbudowie swych kościołów parafialnych. Za dotychczasowe ofiary i wysiłki dziękuję im serdecznie. Winstuję im znacznych osiągnięć, na które spoglądam z radością i dumą. Podziwiam ich wyczucie katolickie, że w nowej Warszawie gmachy kościelne mają być siedliskiem wierniej służby bożej, a zarazem mają godnie reprezentować wielkość idei i kultury chrześcijańskiej.

Apeluję do swych drogich diecezjan na prowincji. Pomóżcie mi dźwignąć czcigodną Katedrę św. Jana i najpotrzebniejsze kościoły tej udreconej metropolii. Niech na ten wielki cel złożą ofiarę każda parafia, każda rodzina, każda organizacja kościelna. Podmiejskie parafie oddadzą mi niemalą przysługę, biorąc udział w odgruzowaniu zniszczonych świątyni, w zwózce materiałów i podobnych pracach uzgodnionych z Radą Prymasowską.

Z serdeczną prośbą o pomoc w odbudowie kościołów warszawskich zwracam się do wszystkich innych Diecezji i Parafii całego kraju, do Wielebnych Duchowieństwa i Zakonów, do Zrzeszeń i instytucji katolickich. Przynagla mnie do tego niezwykle wystąpienia dręcząca troska o to, by w męczeńskiej stolicy życie religijne rozwijać się mogło równomiernie z rozbudową miasta i z silnie uwydatniającym się przyrostem jego ludności. Szczodry wkład całego Kościoła polskiego w odnowienie świątyni warszawskich umożliwi nowy rozwój chwały Bożej na zwalach przeszłości stolicy.

Odwołuję się do uczuć katolickich i ojczyściwszych wszystkich Rodaków za granicą. Apeluję do ich organizacji i pism poczytnych. Gdziekolwiek jesteście, pomóżcie mi pobudować na nowo kościoły warszawskie. By ta wspaniała a heroiczna ludność stołeczna nie zaznała głodu duchowego dla braku świątyni, cyborii, ambon. By błogosławieństwo pokoleń zrodziło się z popiołów bohaterów i męczenników, którzy tu w straszliwych bojach umierali za swobodne jutro polskie i za sprawę bożą w świecie.

Na spalisku stolicy budujemy ufnie nowe życie duchowe. Pomóżcie mi, Rodacy ukochani w kraju i w świecie, stworzyć tu godne warunki czci bożej. Iżby mocami Ducha Pocieszyciela rozpozgodziło się moralne oblicze stolicy. Iżby Warszawa górowała nad metropoliami globu prymatem prawdy i duchowego dostojenia. Iżby od niej, jako od dziejowej piastunki władzy, wiały na kraj twórcze tajemnice boże, które męczennickim sercem chłoneła, gdy wśród pożogi kontynentów dogorywała w purpurowej chwałie własnej ofiary.

Warszawa, dnia 24 czerwca 1947 r.

AUGUST kard. HLOND.

DM150105

W kraju...

W dniu 27 czerwca Sejm większością głosów uchwalił ustawę o preliminarzu budżetowym na rok 1947. PSL głosowało przeciw ustawie, zaznaczając swój — w niektórych wypadkach — pozytywny stosunek do poszczególnych części budżetu, jak na przykład Ministerstwa Obrony Narodowej, Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Rolnictwa, Komunikacji, Klub Katolicko-Spoleczny głosował za budżetem jako całością, podtrzymując na Komisji Budżetowej wniosek o skreślenie symbolicznej złotówki z budżetu centralnego Ministerstwa Oświaty. Wniosek Komisja odrzuciła. Na decyzję posłów katolickich głosowania za całością budżetu wpłynęła pozytywnie także rzeczowa i pozytywna odpowiedź Premiera na zastrzeżenia wysunięte podczas debaty przez Posła Witolda Bieńkowskiego. Odpowiedź ta stanowiła jedną z ważniejszych części mowy Premiera i przyczyniła się niemało do wyjaśnienia sytuacji na odcinku wychowania. Okazało się, że dzięki wystąpieniu Klubu Katolicko-Spolecznego Rząd sprecyzował raz jeszcze swój zamiar nieumniejszania nauki religii. Szczególnie ważną jest obietnica Szefa Rządu, iż „zadaniem światopogląd na Uniwersytecie nie będzie uznany za jedyny i wyłączny“, co jest zahamowaniem tendencji przejawiających się w „Kućnicy“, by nawet profesorowie chemii czy historii musieli być marksistami, — dlatego tylko, że stronnictwa socjalistyczne sprawują w Polsce rządy. Mniej korzystną była odpowiedź Premiera na zarzuty Posła Witolda Bieńkowskiego (Klub Kat.-Spol.), dotyczące wolności wychowania religijnego. Wprawdzie fakt, iż na 269 szkół prywatnych jest 40 wyznaniowych, stwierdza, iż w chwili na tym odcinku wolność nauczania nie jest zagrożona, tym niemniej zdanie o „rozszerzaniu wpływu w państwie“ na terenie szkolnictwa, zapowiada, iż w przyszłej sesji Klub Katolicki będzie miał nie jedną okazję do sprecyzowania swego stanowiska i polemiki z Panem Ministrem Oświaty Skrzyszewskim.

Omawiając całość dyskusji nad problemem szkolnictwa zaznaczyć trzeba, że Poseł Władysław Bieńkowski (PPR) zarzucił obrońcom szkół wyznaniowych „obskurantyzm“ i cytował, jako przykład reformy Kofłataja. Czyż trzeba odpowiedzieć, że zarzut ten jest anachronizmem, gdyż niski stan szkół wyznaniowych w XVIII w. nie wyklucza wcale faktu, iż obecnie istnieje sporo szkół zakonnych na poziomie nader wysokim.

W sumie biorąc odważne wystąpienie Klubu Katolicko-Spolecznego przyniosło duże wyjaśnienie sytuacji na odcinku szkolnictwa i ustaliło pozycję społeczeństwa katolickiego, które na tym punkcie jest jednomyślne.

Czytajcie

„SŁOWO POWSZECHNE”

ków szkoły średniej. Równoległe z analizowanymi wyżej procesami redukcji, malenia zastępów naukowych obserwowano się zjawisko odwrotne, które stało z nimi w związku przyzwoitym.

Horror vacui. Natura boi się próżni. Szkoła również. Ponieważ pokój nauczycielski pustoszał, jak również sale konferencyjne i zaczynało brakować osób zawodowo wykształconych i przygotowanych, więc miejsce ich automatycznie i w sposób „naturalny“ zaczęli zastępować ludzie bez tego wykształcenia i przygotowania albo z przygotowaniem częściowym, niepełnym. Działo tu prawo migracji społecznej; można je sobie do pewnego stopnia unaocznic prawem równo wagi ciężkości w naczyniach połączonych. Szkolnictwo w wyniku tego procesu zdobywa ludzi bez kwalifikacji nauczycielskich, zawodowych, często bez kwalifikacji uniwersyteckich, niekiedy, bo i to się zdarzało, bez kwalifikacji szkoły średniej. To ostatnie teoretycznie mało jest prawdą podobne, ale praktycznie bywało. Możliwy był w takich warunkach wypadek, który tu rozważam teoretycznie nie tylko, że dyrektorem szkoły średniej, a więc i prawdopodobnym przewodniczącym komisji maturalnej, mógł być człowiek, który sam oświadczył tej matury nie posiadał. Jak wiada, życie naszej szkoły mogło stworzyć zgola nieprawdopodobne paradoksy (a może je nawet stwarzało). Istotne byłoby niemożliwe, nie do zniesienia w jakimkolwiek innym zawodzie „akademickim“. Było dobrze dla szkoły, jeżeli taki zastępca nauczyciela braku w swej wiedzy zawodowej czy ogólnej rekompensował walorami osobowości, zaletami „umysłu i serca“, mógł oczywiście wtedy pełnić swe ciężkie obowiązki nie bez korzyści dla ucznia. Mogły to być jednak wypadki arcydziwne, zważywszy, że bogatsza i teższa indywidualność nie emigruje dobrowolnie i bez przymusu z innego zawodu do zawodu cięższego, jakim jest profesja nauczycielska. Chyba, że odkrywa w sobie wybitne, a nieco spóźnione upodobania i uzdolnienia do tego zawodu.

Wypadku ostatniego nie wprowadzimy do naszego obrachunku, jako wypadku zgola już wyjątkowego.

W całości przedstawionych tu w wielkich skrótach przemian i wymian w naszych kadrach nauczycielskich działo w sposób nieubłagany prawo społecznej selekcji, ale to selekcji in minus, której musimy nadać już wyraźne znaczenie pejoratywne. Prawo to działo z nieubłaganą, mechaniczną wprost konsekwencją, wyłączając z czynnych szeregów nauczycielskich jednostki co teższe duchowo, co wartościowsze, dostarczając im w zamian elementów surogatowych, deklasujących stan nauczycielski, obniżających wartość samej pracy szkolnej. Nic też dziwnego, że dają się słyszeć głosy ludzi kompetentnych, którzy ostrzegają społeczeństwo przed widmem rozkładu szkolnictwa średniego, spowodowanego kryzysem w stanie biologicznym zastępów jego nauczycielstwa (np. Juliusza Kleimera).

Piszę o tych sprawach dawniejszych szczegółowiej, bo powojenny sian kadry nauczycielskiej powtarza ich dzieje przedwojenne, bo sformułowane wyżej prawo selekcji in minus działo nadal, ba! z większą bodaj precyzją, niż to było przed wojną. Wspomniało się na początku tych rozważań o dzisiejszej dezercji i o jej natężeniu: jest ono większe bez potównania, niż przed wojną, bo czasami przybiera jakieś epidemiczne rozmiary. Działają i teraz względy natury ekonomicznej, które powodują, że ludzie więcej niż oglądają się za „czymś lepszym“, niekoniecznie ze względów egoistycznych, ale w usprawiedliwionej trosce o codzienny los swych najbliższych.

Czytałem niedawno w dodatku akademickim Słowa Powszechnego o niskich ilościach studentów na wy-

działach „pedagogicznych“, humanistycznych. Młodzież ich unika i z całą otwartością kwalifikuje niskie nad wyraz możliwości życiowe magistrów humanistyki. Stąd powodzenie wydziałów „technicznych“. Obserwowało się to samo i przed wojną, ale nie w takiej ostrości. Młodzież stała się dzisiaj więcej praktyczna i wyrachowana, niż przed wojną — i trudno z tego tytułu kuć przeciw niej jakieś zarzuty. Ale jedno jest pewne, że to jest również objaw dezercji, tym razem dezercji „prewencyjnej“, która pogłębi kryzys biologiczny kadr nauczycielskich.

Ilość „penetrantów“ do szeregów nauczycielskich również wzrosła i również w ścisłym związku przyczynowym z ubytkami w szeregach nauczycielskich, jak było przed wojną. Przyczynia się do tego w pewnej mierze fakt znacznego wzrostu szkół średnich po wojnie. Nie ma kto uczyć. Uczą więc chętni w tym kierunku wszelkiego autoramentu amatorzy.

A ucza, wiadomo, z jakim skutkiem. Rok temu czytałem w pismach notatkę, że do pewnego gimnazjum na Za chodzie zaangażowano w charakterze nauczycieli szereg urzędników, o ile sobie przypominam, ze starostwa. To nie wymysł humorystyczny, ale fakt rzeczywiście. Jestem ciekaw, jakby wyglądał pacjent szpitala, w którym sztab lekarski reprezentowany jest przez felcerów i pomocniczą służbę lekarską. Los dzieci oddajemy bez żadnego wahania w ręce ludzi przypadkowych, w tym błogim i prymitywnym oczywiście przekłamaniu, że organizm duchowy człowieka, zwłaszcza zaś tak delikatny, jak dziecka, jest łatwiejszy do regulowania, prowadzenia i leczenia, niż organizm fizyczny.

W chwili obecnej mamy niemałe jeszcze fachowe kadry nauczycielstwa przedwojenne. Stoi ono w twardej pracy szkolnej. Jak ta praca wygląda, wystarczy powiedzieć, że ilość godzin pracy pojedynczego nauczyciela w szkole średniej dochodzi czasami do 50 tygodniowo, czasami przerzuca się poza tę cyfrę. Są to wymiary potworne. Uczą w tym wymiarze, bo muszą uczyć: taki jest ich obowiązek społeczny. taka jest również logika życia codziennego, bo trzeba utrzymać rodzinę na powierzchni. Ale kto zna charakter pracy nauczycielskiej choćby najgłówniej, ten wie, że praca ta wielokrotnie intensywniej wyczerpuje organizm człowieka, niż praca jakiegokolwiek innego inteligenta. Tu nie ma żadnego porównania. Przecież tych ludzi takie zawrotne tempo pracy po paru latach zetrze na proch. Gdzież tu mówić w tych warunkach o jakiejś świadomej, celowej, ze spokojem prowadzonej i planowanej pracy wychowawczej! Szkoła w tych warunkach to nie zakład wychowawczy, ale jakas wytwórnia mechaniczna, urągająca zdrowemu rozsądkowi.

Taki jest obraz dzisiejszej szkoły średniej od strony pracownika szkolnego. Obraz nieprzesadzony i niepoeticzający, który charakteryzuje jej kryzys. Nie wiadomo jeszcze, czy jesteśmy u jego dna, czy się, co byłoby jeszcze gorzej, do niego zbliżamy.

Dobra szkoła średnia dawała (i dawać powinna) zapas wykształcenia ogólnego, który mógł wystarczyć na całe życie niejednemu specjalistom technicznemu, wprowadzała swego wychowanka choćby w stopniu elementarnym w metodę pracy umysłowej, dawała wreszcie rzecz cenną — ogólną właściwą nastawienie życiowe, właściwy pion psychiczny. Trudno tutaj przypominać rzeczy może nawet powszechnie znane, ale nie uznawał że komunałami. Było to zadanie tej szkoły, zgodne z wiekiem młodzieży, która przebywała w jej murach. Szkoła bez wyborowego nauczyciela nie spełni tego zadania społecznego. A więc jasne, że szkoła w upadku to jeden ze współczynników (chyba

nie ostatni) barbaryzacji społeczeństwa.

Tymczasem nie widać na horyzoncie żadnych prób przeciwdziałania postępującemu naprzód kryzysowi szkolnemu. Nie dziwi bierna postawa społeczeństwa: ono tych praw nie docenia. Dziwić może postawa sfer międzynarodowych. Nie wystarczy karcić nauczyciela czy jego gromienie, ani zapowiedź usuwania ze szkolnictwa elementów niepożądanych, tak jak gdybyśmy chorowali na nadmiar pracowników szkolnych, jakby było w czym przebiegać, jakby stanowisko nauczyciela było synekurą, której się trzeba trzymać oburącz. Wiemy również, że ludzie sami ze szkolnictwa uciekają do zawodów mniej eksponowanych, pracujących z materiałem i małą materią. Aby zdobyć dla szkolnictwa wartościowy materiał pracowniczy, trzeba środków realnych, konkretnych. Cudownymi sposobami nie pozyska się dla warsztatu szkolnego twórczego pracownika.

A więc nie zjawia on się w szkole tak nagle i niespodziewanie, jak deus ex machina, skoro tylko magik dzieńnikarski z Kuźnicy czy Odrodzenia machnie swą czarodziejską pałeczką. Zdobyć go trzeba sposobami „empirycznymi“, które z jednej strony za hamują emigrację szkolną, z drugiej zaś zapewnią stały do niej dopływ pełnowartościowego elementu.

Nie pomogą środki doraźne, a więc te trzy czy dwa tysiące zł miesięczne go dodatku do pensji nauczycielskiej. Nie ufratują w cel sztuczne projekty w rodzaju tego, o jakim pisał w swym czasie w Tygodniku Powszechnym L. Jaxa-Bykowski, który proponował „obowiązkową służbę nauczycielską“ dla wszystkich magistrów filozofii, wychodzących z uniwersytetów. Jest to projekt nierealny, choć symptomatycznie rozpaczyliwy, wyznaczający skalę przeżywaną obecnie katastrofy szkolnictwa na jego odcinku osobowym.

Według mojego najgłębszego przekonania skutek realny dać może tylko biegunowo radykalna zmiana dotychczasowego stanowiska społeczeństwa i czynników rządzących w stosunku do problemu pozycji nauczyciela w Polsce, taka zmiana, która by doprowadziła do zrewolucjonizowania jego pozycji w narodzie, materialnej i moralnej, która by z kopciuszka, permanentnego pariasa społecznego uczyniła jego pupila. To tylko sprawi, że ludzie przestaną z tego zawodu uciekać, owszem, będą się do niego z chęcią gnać, to sprawi, że zawód nauczycielski stanie się — o dziwo! — atrakcyjnym u nas, jak jest w Szwecji i gdzie indziej.

Ale na to potrzeba zmiany nastawienia, o której mowa — i to zmiany na poziomie rewolucyjnym. Przyszedł na to czas. Jeśli stać nas było na reformę rolną, na reformę przemysłową, których założeniem było uzdrowienie organizmu gospodarczego naszego narodu, to należy się teraz kolejno zdobyć na nową, trzecią reformę, która dopomoże do prawidłowego funkcjonowania naszego organizmu duchowego. Czekam na nią Polska od lat paruset, od czasu niewysłuchanego głosu ostrzegawczego w sprawie socjalnej pozycji nauczyciela polskiego, głosu, który padł z ust Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Proszę sprawdzić, co pisze w tej materii ten najgłębszy myśliciel dawnej Polski (jakoś się o nim dzisiaj zapomnieli; w nawiasie wolno mi tu dodać, że nie zawadziłoby dzisiejszemu publicyście, zwłaszcza zaś wszystkim wiedzącym uzdrawiaczom, zapoznać się z dziejami polskiej myśli politycznej; stwierdziłiby ze zdumieniem, że niejedną Amerykę — i to Amerykę autentyczną — odkrył przed nimi w w. 16 taki Modrzewski czy w w. 17 któryś z rakowian).

Nie jest celem tego artykułu wchodzenie w szczegóły tej „trzeciej reformy społecznej“, ma on przecie za zadanie tylko postawienie problemu.

Jedno trzeba sobie powiedzieć twardo i bez żadnych złudzeń. Szkoła stoi nie programem, nie technicznym wyposażeniem, ale osobowością nauczyciela. To wszystko jest dodatkem, choćby nawet koniecznym. Mamy więc do czynienia z problemem człowieka, znowu z problemem humanistycznym. Na to nie ma rady. Tak było zawsze i będzie zawsze, choćby nie wiem kto i jakie chciał u wytaczać kontrargumenty. To jest, proszę państwa, naturalny, empiryczny, „dialektyczny“ porządek tego podstępniego świata. Na Marsie jest może inaczej. Nie powinni go przeto próbować zmieniać empirycy, bo to i nie wypada i, otwarcie mówiąc, nie ude się. Próżna praca. Samacja próbowała iść wbrew niemu i oczywiście przegrała wojnę o reformę szkolną, bo ją chciała przeprowadzić na drodze konstruowania doskonałych programów nie troszcząc się o to, kto te programy będzie wykonywał. Polska powojenna nie może powtórzyć tego błędu. Tylko i jedynie żywa, twórcza, bogata, pełnowartościowa pod każdym względem osobowość nauczycielska zdoła formować pełnowartościową osobowość wychowanka. Na tej osobowości przeto powinna się skoncentrować czujna uwaga wszystkich, którzy są odpowiedzialni za losy dzisiejszego szkolnictwa. Takimi ludźmi, o takiej osobowości należy wypełnić kadry nauczycielskie, choćby za cenę niemałą, za cenę „trzeciej reformy społecznej“ w Polsce, reformy przecznej a wielkodusznej, a więc rozumnej. Ta reforma powinna radykalnie usunąć dotychczasowy nonsens przemianomiernej obdziałania społecznym materiałem ludzkim wszystkich dziedzin naszego życia z wybitnym, jaskrawym pokrzywdzeniem szkolnictwa średniego (i oczywiście powszechnego, może w większym jeszcze stopniu). W szkolnictwie wyższym nie jest dziś, jak wiadomo, dobrze, ale nie jest tak katastrofalnie źle, jak w szkolnictwie I i II stopnia.

W przeciwnym razie czeka nas druga przegrana na froncie szkolnym, teraz już dotkliwsza, w skutkach dalsza i groźniejsza, która się zemści na całej naszej przyszłości.

Juliusz Nowak-Dłużewski

PAMIĘTAJ O ODBUDOWIE OPACTWA TYNIECKIEGO

Ofiary można wpłacać na konto P.K.O. — Kraków — IV—477 (Opactwo O. O. Benedyktynów) lub też w Administracji „Tygodnika Powszechnego“.

KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży

Ks. dr Win. Helenowski

Gostynin, wojew. Warszawskie

Od Administracji

Zawiadamy, naszych P. T. prenumeratorów że jesteśmy zmuszeni podnieść od dnia 1 lipca r.b. cenę prenumeraty na zł 60.— miesięcznie, 180.— kwartalnie.

Pojedynczy numer kosztuje 20.— zł

Prosimy o wyrównanie różnicy ceny prenumerat do wysokości 60 złotych miesięcznie

Leon Brodowski

PRZEŁAMANIE SCEPTYCYZMU

Nie można dziś rządzić nowoczesnym państwem nie znając wszystkich konsekwencji społecznych wyznawania przez obywateli katolicyzmu.

Polityk, który nie rozumie, że rozwój katolicyzmu jest warunkiem zdrowia narodu, jest złym politykiem, natomiast dalekowzrocznemu politykowi nie wystarczy nawet traktowanie katolicyzmu jako najskuteczniejszego środka do zagwarantowania dóbr doczesnych w państwie. Najlepsze bowiem efekty w płaszczyźnie doczesności wywołuje katolicyzm, wyznawany dla niego samego, jako jedynego najwyższego celu.

Istnieje najpoważniejszy w Polsce po wojnie problem polityczny — problem Ziemi Odzyskanych. Chodzi o aliaz ludzi zamieszkujących te ziemie i o aliaz Ziemi Odzyskanych z Macierzą. Jeśli chodzi o relację tego problemu do katolicyzmu, to można ją rozwijać wychodząc z dwu różnych punktów widzenia. Dotychczas w publicystyce naszej zajmowano się zagadnieniem pierwszoplanowej roli katolicyzmu w budowaniu kulturalnego oblicza ziem nadodrzańskich i mazurskich, a w szczególności jego roli katalizatora w socjologicznym procesie cementowania w organiczną całość pięćmilionowej ludności tych ziem. Do jeszcze ciekawszych sformułowań można dojść analizując znaczenie Ziemi Odzyskanych, pojętych jako pewnego kompleksu faktów w nowej rzeczywistości polskiej, dla kształtowania się charakteru katolicyzmu Polaków.

Aktywni katolicy nie spieszyli się na Ziemi Odzyskane, w celach podjęcia tu roboty ideowej katolickiej, gdyż nie odpowiadała im panująca tam atmosfera łamania podstawowych praw Dekalogu. Dzisiaj spotkać można często tych samych katolików deklamujących o konieczności wyrównywania niesprawiedliwych dysproporcji pomiędzy ludźmi biednymi, bo pracującymi uczciwie, a ludźmi w łatwy lecz nieetyczny sposób wzbogaconymi. O ileż bardziej twórca byłaby postawa katolików, gdyby przed dwoma laty podjęli zorganizowaną akcję ochrony mienia i ładu, akcję apostołską przeciwko łamaniu 7-go a także 5-go przykazania Boga na Ziemiach Odzyskanych. Nie uczyniono tego. Niektórzy szaleńcy wprost z uciechą nieomal patrzyli na trudności z jakimi spotkał się na Ziemiach Odzyskanych nowoformujący się aparat rządowy.

Nieopanowany przez ideową akcję społeczną w Polsce szaber zrodził wiele niesprawiedliwości. A dzisiaj katolicy sądzą, że wypełniają oalkowicie swój obowiązek wobec bliźnich, gdy wpłacają regularnie miesięczną składkę na „Caritas”. Postępujemy wciąż w pracy naszej społecznej, jak lekarski, który goi tylko objawy choroby a nie umie sięgnąć do wykorzystania istotnych jej przyczyn i do zapobiegania schorzeniom na przyszłość.

Gdy zastanowić się głębiej nad istotnymi przyczynami obojętności aktywnych katolików wobec występującego tak niedawno ze szczególnym natężeniem zjawisk łamania prawa moralnego na Ziemiach Odzyskanych, dojść trzeba do przeświadczenia, że przyczyny te tkwi-

ły nie tyle w chęci odcięcia się od publicznej niemoralności, lecz w uprzedzeniu do Ziemi Odzyskanych wogóle.

Ludność rewindykowanych przez Polskę ziem składa się, jeśli nie brać w rachubę kilkuset tysięcy pozostających na wyjeździe Niemców, z trzech zasadniczych grup: zabużan, Polaków z ziem centralnych oraz autochtonów. Ponieważ repatrianci ze wschodu są relatywnie najliczniejsi i najaktywniejsi, ich postawa jest rozstrzygająca dla wszelkich konstruktywnych procesów na tych ziemiach. O ile jest faktem, że Polacy ze Lwowa i Wilna zajmują dzisiaj wiele czołowych pozycji w życiu gospodarczym, politycznym i kulturalnym w kraju a w szczególności przewodzą niejednemu ruchowi ideowemu, o tyle musimy tu stwierdzić ten również fakt, że nastawienie przeciętnego repatrianta zza Buga do Ziemi Odzyskanych nie jest pozbawione specyficznego sceptycyzmu. Specyficznego w tym sensie, że nie ma ono nic wspólnego z tymi, niechętnymi z pewnością Polakami małej wiary, którzy wątpią w ostateczne utrzymanie się Polaków na Ziemiach Odzyskanych. Tym niemniej istnieje uprzedzenie repatriantów do Ziemi Odzyskanych. Jego źródła można doszukiwać się w momentach uczuciowych, powstałych skutkiem niemożności przez większość Polaków zza Buga szybkiego psychicznego przystosowania się do gwałtownych w skali historycznej przemian warunków życiowych i za pytujemy siebie dlaczego katolicyzm repatriantów, który był dla nich ostoją wewnętrzną w czasie wojny, nie okazał się dotąd wystarczająco silny, by pokonać tkwiące w nich szkodliwe opory psychiczne. I właśnie w tym konkretnym wypadku ustosunkowania się kilku milionów ludzi do Ziemi Odzyskanych, ujawniają się słabe strony katolicyzmu Polaków wogóle. Uderza nas brak pogłębienia katolicyzmu a w szczególności zrozumienia i zastosowania w życiu wszystkich konsekwencji, wypływających z dogmatów katolickich w stosunku do naszej postawy kulturotwórczej.

Kościół, który jest mądrzejszy aniżeli katolicy uczy nas na podstawie swego wiekowego doświadczenia, do świadczenia walk z wszelkiego rodzaju błędami i zbrodniami, że nastój sceptycyzmu nie da się pogodzić z postawą prawdziwie katolicką wobec życia. Norwidowe — „tak — tak — nie — nie, bez światłocienia” winno być odpowiedzią katolicką na każde zjawisko, nas dotykające. Postawa prawdziwie katolicka jest kulturowo najskuteczniejszym narzędziem uleczenia wszelkich społecznych schorzeń...

Należy więc sądzić, że i problem stabilizacji i asymilacji Ziemi Odzyskanych, problem, jak nadmieniałem, najpoważniejszy politycznie, dla nas po wojnie, zostanie rozwiązany najpomyślniej wówczas, jeśli katolicyzm w Polsce zajmie wobec niego postawę aktywną, z drugiej strony fakt wejścia Ziemi Odzyskanych na widownię powojennego życia Polski, spowodować powinien głębokie, twórcze przeobrażenie w procesie kształtowania się charakteru katolicyzmu Polaków. Gdy postanowimy przenieść się z Centralnej Pol-

ski na Ziemi Odzyskane, wiele osób odradzało mi ten krok. Jedną z nich w ten sposób sformułowała swoje zastrzeżenia: Na Ziemi Odzyskane powinni jechać pionierzy, a nie katolicy. Miało to oznaczać, że ten, kto chce prowadzić ideową pracę katolicką na serio, powinien szukać warunków ustabilizowanych, a nie warunków tak jeszcze trudnych, bo płynnych i wymagających pokonywania różnych przeszkód w codziennym życiu, jakie są na Ziemiach Odzyskanych.

Wielu Polaków mniema podobnie że rozwój katolicyzmu jest warunkowany atmosferą cieplarnianą a w szczególności, że rozkwit wewnętrznego życia religijnego wymaga zwolnienia się ludzi od kłopotów materialnych. Wielu sądzi, że postępy w modlitwie rosną wraz z umniejszaniem trudu pracy ludzkiej. Ziemi Odzyskane wymagają od swych mieszkańców energii wytężonej, kłopotów, trosk rozlicznych, postawy pionierskiej, które zdaniem tychże, nie sprzyjają rozkwitowi ideowej pracy katolickiej. W naszym kwietystycznym nastawieniu do życia religijnego kryje się poważne niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo rozdziału kultury od religii, a więc życia od Boga. Ostatnio zwrócił uwagę na to niebezpieczeństwo ks Biskup Stefan Wyszyński w swej książce „Duch pracy ludzkiej, w której zostało rzucone Polakom przez Biskupa — Socjologa wielkie zadanie w ich pracy ideowej, polegające na tym, aby bezduszną pracę uratować w modlitwie a modlitwę kwietystyczną uratować w pracy.

Ziemi Odzyskane wołają o twórczą pracę i twórczą modlitwę. Tu na Ziemiach Odzyskanych winna być rozwiązana przez katolików polskich antynomia pracy i modlitwy.

Gdy dyskutowałem w gronie znajomych przed wojną na temat stosunku katolików do komunizmu, jeden z nas zauważył, że komunizm mimo wspólnego z katolicyzmem antykapitalistycznego nastawienia, trudny jest do współpracy z katolicyzmem ze względu na swoją postawę negującą wszelką tradycję. Gdybyśmy schemat komunistów — antytradycjonalistów i katolików — tradycjonalistów zechcieli skonfrontować z rzeczywistością dzisiejszej Polski, to by się okazało, że schemat ten jest często słuszny lecz a rebours. I tak, jeśli chodzi o Ziemi Odzyskane, marksieści polscy występują jako szermierze nawiązania ścisłej łączności pomiędzy dzisiejszą Polską a Polską Piastowską. Natomiast trzeba to ujawnić, że z wyjątkiem kilkunastu literatów i pu-blicystów, ogół katolików cechuje postawa ahistoryczna wobec Ziemi Odzyskanych.

Oto fragment charakterystycznej rozmowy w pociągu. Jeden z pasażerów, oglądając przez szyby wagonu piękną panoramę Śląska Sudectkiego daje głośno wyraz swej radości z powodu powrotu Polaków na dawne swoje ziemie. Na to drugi podróżny, adwokat z zza Buga, uśmiecha się niedowierzająco i powiada, że fakt obecności na tych terenach Polski przed 600 laty nie ma znaczenia, boć przecie, gdy oddano teraz nam te ziemie, znajdujący się na nich potomkowie dawnych Sio-

wian, byli zupełnie zgermanizowani. Wtrąciłem się do dyskusji, zamrażając, że repolonizacja nad Odrą jest uzasadniona moralnie.

Przytoczyłem za Karolem Stajnowskim, świetnym znawcą problemu niemieckiego analogię irlandzką, która jest dowodem, że projekt zagwarantowania uspokojenia Niemiec na drodze reslewizacji nie są utopijne. Jak wiadomo Irlandczycy należący do rodziny narodów celtyckich, ulegli w ciągu dziejów daleko idącej asymilacji na rzecz Anglików. Cała niemal Irlandia dotąd jeszcze mówi językiem angielskim. Dopiero po uzyskaniu swego własnego państwa Irlandczycy zaczęli re-celtyzować swój naród.

Rzecz była do przewidzenia, że podobne wywody nie przekonały adwokata, albowiem nie chciał on zrozumieć, że tym większe przecie mamy prawa do Ziemi Odzyskanych, im więcej Polaków pochłonięta na tym terenie niemoralna germanizacja. Wielu jest jeszcze u nas katolików, którzy, jak ów adwokat z pociągu nie przemyśleli tych słów Chrystusa: „Powiadam wam, jeśli by ci milczeli, nawet kamienie wołać będą”.

A przecie katolicy posiadając tak piękny dogmat o świętym obcowaniu powinni być w dzisiejszej Polsce apostołami łączności wszystkich pokoleń Polaków — minionych obecnych i mających się narodzić.

Na Ziemiach Odzyskanych wśród prochów ojców naszych możemy się poczuć jednością ze wszystkimi duchami nieśmiertelnymi.

Zbyszko Bednarz przytacza charakterystyczną legendę, stworzoną przez jednego z działaczy niepodległościowych śląskich przed wojną, o pokucie króla Kazimierza Wielkiego. Mówiono, że król o północy wstał z sarkofagu na Wawelu i kaje się przed cudownym Panem Jezusem, błagając go o skrócenie czasu pokuty, którą odbywa za to, że oddał Śląsk Niemcom. Jezus wzywa króla do cierpliwości i zapowiada, że z pokuty tej uwolni go niedługo lud śląski, który wypędzi Niemców z Odre.

Dzisiaj gdy skończyła się królewską pokutą źródła sceptycyzmu katolików polskich wobec Ziemi Odzyskanych, znaleźliśmy w kwietystym oraz ahistoryzmie Polaków dzisiejszych...

A przecie — jak to ktoś trafnie powiedział — Panu Bogu wcale nie zależy na tym, aby katolicy byli na tej ziemi zwycięzcami; Bóg bowiem może zrealizować swoje plany wobec świata i przy pomocy niekatolików. A my katolicy sądzimy, że nasi przeciwnicy ideowi nie podlegają Bogu i nie pełnią zadania, które dla nich przeznaczył nasz Ojciec Niebieski.

Ziemi Odzyskane, będąc terenem pełnienia obowiązku narodowe go Polaków — katolików, winny być jednocześnie okazją do podjęcia przez katolików polskich pracy nad moralnym ich udoskonaleniem.

Powiększeniu granic Polski na Zachodzie winno odpowiadać polepszenie naszych serc.

Leon Brodowski.

W świetle...

JESZCZE O PLANIE MARSHALL'A

Sprawa planu Marshall'a weszła jak się wydaje na pozytywne tory. W ciągu kilku dni wypadki potoczyły się szybko naprzód. Związek Radziecki wyraził zgodę na wystąpienie swego przedstawiciela na proponowaną przez Wielką Brytanię i Francję konferencję ministrów spraw zagranicznych. Fakt ten zbiegł się z oświadczeniem brytyjskiego sekretarza stanu dla spraw gospodarczych Wilsona, który poinformował o pomyslnie rozwijających się rokowańach handlowych brytyjsko - sowieckich. W najbliższym czasie należy oczekiwać podpisania stosownej umowy.

Opinia całego świata w napięciu oczekuje wyników konferencji paryskiej. Nie ulega przy tym wątpliwości, że jej rezultat zależy przede wszystkim od stanowiska Stanów Zjednoczonych i ZSRR. Tylko w wypadku zmiany dotychczasowego nastawienia politycznego między Waszyngtonem a Moskwą można oczekiwać pomyślnego przebiegu rozmów.

Minister Marshall oficjalnie potwierdził pogłoski o rozmowach, toczących się na temat przyznania kredytów dla Zagłębia Ruhry. Niewątpliwie sprawa niemiecka będzie poruszona na konferencji paryskiej i nie wiadomo, czy znów nie stanie się powodem niezgody.

Charakterystyczne jest przy tym, że Wielka Brytania sprzeciwia się od pewnego czasu, gospodarczemu popieraniu Niemiec. Okres niepewności, panującej na gruncie politycznym od chwili zakończenia działań wojennych, mógłby niewątpliwie znaleźć swoje rozładowanie na Konferencji Paryskiej.

NIEPOKOJE W U. S. A.

Stany Zjednoczone przeżywają znowu falę strajków. Na giełdzie nowojorskiej zaznaczyły się nastroje wprost paniczne, wślad za czym nastąpił spadek akcji. Wydarzenia te są rozszerzającym się echem forsowanej przez republikanów ustawy, godzącej w interesy robotników (rozbięcie Związków Zawodowych i zakaz strajków). Jak wiadomo ustawa ta została przyjęta przez Kongres mimo weta prezydenta Trumana. Robotnicy amerykańscy stoją twardo w obronie swych praw, tak że zanoszą się na poważny konflikt wewnętrzny. Partia republikańska, która odzyskała swą siłę po śmierci Roosevelta, będzie przypuszczalnie musiała skapitulować wobec zdecydowanej postawy robotników.

CHINY

Nieszczęśliwie wiedzie się ostatnio marszałkowi Czang-Kai-Szekowi. Poniósł on na terenie Mandżurii duże straty w ludziach i został zmuszony do opuszczenia znaczących połaci tego kraju. Co dziwniejsze, że jednocześnie amerykański sekretariat stanu wstrzymał wypłatę pożyczki dla Czang-Kai-Szeka. Jako motyw odroczenia wpłaty podano niedostateczną dbałość o zapewnienie porządku wewnętrznego w państwie chińskim. Przypuszczalnie w związku z tym Rada Narodowa Chin stara się za wszelką cenę podjąć rokowania z partią komunistyczną. Szanse tych rokowań jednak ciągle pozostają wątpliwe.

»Caritas Academica« urządza z biórkami w lokalach i teatrach na obozy wypoczynkowe dla studentów uczelni warszawskich

Pomóż i ty!

Pomóż i ty!

Karol W. Zawodziński

Krytyka antykrytyki i

AKURAT ROZMYŚLAŁEM nad zagadnieniem „autorytetu moralnego“ właściwego niektórym wielkim pisarzom. Nie każdemu: zjawisko jest dość rzadkie, jeden może taki pisarz na każde pokolenie, dwóch chyba nie bywa jednocześnie w literaturze jednego kraju. Zjawiska nie da się uprościć przez przypisanie danemu pisarzowi daru wypowiedziania poglądów nanodu (lub jego większości) w każdej sprawie. Na pewno Zermoski nie reprezentował politycznie ogółu albo większości Polaków pierwszej ćwierci XX w. Ale głos jego poruszał najgłębsze fibry istoty moralnej każdego rodaka, w tej liczbie i tych, którzyby nigdy nie głosowali nań przy wyborach do parlamentu.

W naszym pokoleniu ten autorytet moralny związał się ze słowem Marii Dąbrowskiej. Zauważyłem to przed 15 laty, w książeczce pisanej o niej w chwili, gdy dopiero wychodziła, po wydaniu dwóch pierwszych części „Nocy i dnia“, na czoło piśmiennictwa współczesnego. Potwierdziłem to wrażenie po upływie paru lat przy innej sposobności, mimo, że uświadomiłem już sobie, jak bardzo różniła się nasze stanowiska w mnóstwie spraw zasadniczych. Teraz, po wojnie, czytałem jej wypowiedzi z bijącym sercem, na pewno razem z większością Polaków. Jej ufność w spodziewany odgłos „na rynku“, wyrażona przy jakiejś sposobności, nie jest na pewno zarozumiałością i przechwałką.

Otrzymałem srogą reprimendę od takiego autorytetu nie jest rzeczą błahą. Równa się to niegmał ekskomunice dla wierzącego katolika, tym cięższej dlań, gdy przy tym nie traci wiary, tak jak i ja nie straciłem wiary w autorytet moralny znakomitej pisarki. Do sprawy tego autorytetu, niejaśniejsze zawsze dla mnie, o posmaku jakiejś tajemnicy mistycznej, powrócę kiedyś jeszcze, jeśli nie kusząc się o jej syntetyczne rozwiązania, to przynajmniej o jej wyrazistą egzemplifikację.

Przygąbiony potępieniem, pocieszam się jedynie (na wzór katolika, p. jak wyżej) świadomością ograniczeń zasięgu każdego, najwyższego nawet autorytetu (p. jak wyżej: papież jedynie „orzekający ex cathedra w sprawach wiary i moralności, jest nieomylny“); analogicznie do katolika, odwołującego się „a Papa male informato ad Papam melius informatum“, pokładam nadzieję w skorygowaniu błędów rzeczowych, które zakradły się między motywy potępiające wyroku (p. nr. 119 „Odrodzenia“).

2.

Niektóre z tych błędów — to tylko nieporozumienia, wyniki z nieoględnego i niedołężnego ujęcia myśli na piśmie. Tak np. chciałem powiedzieć, że i w dramacie Dąbrowskiej, podobnie jak w Wyspiańskiej, znajdujemy formę 1 przyp. l. mn. „dziecka“; myśl tę zawarłem (dla krótkości) w zdaniu: „nawet jego ulubionych d i e c k ó w nie zabrakło“, skąd Dąbrowska wzięła asumpt do obrony 2 prz. l. mn. na „ów“ (we wszystkich deklinacjach), istotnie rozpowszechnionego w starszym języku literackim (dość wspomnieć „Marię“ Malczewskiej), tak jak i w gwarach dzisiejszych, z czego zresztą nie wynika, żeby był prastary i mógł sięgać XI w.; tego zresztą Dąbrowska nie dowodzi, dość ustępliwa na tym punkcie. Oto przykład sporu w sprawie, której nie podnosiłem, ale który wymielał z mojej winy. Same zaś „dziecka“ nie zostały przedyskutowane, i nie ma potrzeby: będą objęte szerszym i bardziej zasadniczym punktem dyskusji.

W niektórych innych wypadkach wina moja jest cięższa i bardziej oczywista. Trudno się zapierać — istotnie nie odszukiwałem u Lindego słów, które wzięłem za neologizmy, zawierające swemu „instynktowi językowemu“ i mizernej edukacji. Ale łatwo powiedzieć: „zajrzyj do Lin-

dego“, komuś mieszkającemu za mianem, w warunkach komunikacji z Warszawą zimą 1945 — 46, a nie posiadającego tego skarbu we własnym księgozbiore; przy zbyt daleko posuniętym pedantyzmie nie napisałbym przez całą zimę nawet tej części mojej większej pracy, która powstała (że odsłonię kulisy) pod zewnętrznym niejako naciskiem. A zresztą „instynkt językowy“ nie oszukał mnie tak bardzo nawet i w tym wypadku. Jeśli „władacz“ jest archaizmem, to archaizm archaizmowi nierówny, i trzeba umieć je rozróżnić. „Władacz“ może być rówieśnikiem „władcy“ i czasownika „władac“, do dziś istniejących w języku literackim, ale wszystkie razem nie są starsze od epoki wpływów czeskich, poźniej kształtujących polszczyznę kulturalną, zaczynając gdzieś od schyłku XIII w., więc od narodzin pisma polskiego. Wiek to niewątpliwie poważny. Dla polszczyzny XI w. możemy jednak przypuścić tylko formę „włodacz“; hipoteza zresztą zbyt czarna, skoro posiadamy do dziś żywe słowo „włodarz“, utworzone przez sufiks analogicznej funkcji, a dawniej bardziej czynny niż „acz“. Choć we wznowionym swym szerszym sensie „włodarz“ bardzo zbanalizował się w języku panegirystów Mościckiego, nie wywołałby sprzeciwu takiego, elementarne mającego pojęcie o staropolszczyźnie, czytelnika, jak ja, którego „włodacz“ razi jako niemożliwy anachronizm. Wyżej powiedziane stosuje się i do „Władysława“, którego Dąbrowska, jak i wiele innych moich nieodpartych zarzutów, zbywa milczeniem.

Winiem dalej jestem w sprawie „bestrej“: wzięłem to za graficzną oboczność „bystrej“ (zamieszanie możliwe istotnie przy wymowie z „e“ pochylonymi, skąd słyszy się dziś nie raz w gwarowym koniarstwie „bystre oko“, tj. „pstre“, z białawą rogówką, to co nazywa się powszechnie „rybie“; na tym oparłem zbyt śmiało hipotezę o pokrewieństwie etymologiczno-znaczeniowym wyrazów). Ale w dalszym ciągu tego ustępu, niestety, zniekształconego w pierwodruku i niepoprawionego w książce przez niedbałość drukarni, nie jest już „bredzenie czegoś o e pochylonym“, jak to delikatnie określa Dąbrowska, tylko zupełnie słuszne wytknięcie użytego przez nią zwrotu „po rzyce“ (po rzece), niemożliwego bez e pochylonego, które tu jest anachronizmem, na wiele wieków przed zniknięciem iloczasu w języku polskim.

W innych wypadkach nieporozumienia nie z mojej wynikają winy, tylko z nieuwważnego odczytania mojego tekstu przez Dąbrowską, może niezbyt jasnego w zawiłych długich okresach, z których słusznie szydzi. Niepotrzebnie więc broni przede mną wyrazu „skot“, zaliczonego przez mnie do kategorii „stosowanych z taktem, zgodnie z danymi historii języka“. „Egzotyczność“ następnie przytoczonych przykładów jest moim wrażeniem czytelniczym — nie bezasadnym. „Śmierny“, choćby tak pisało się w zabytkach, przy ich niedołężnej i nieustalonej pisowni, brzmiało „śmierny, lub „śmierny“; „pieśnia“ jest dubietem m ł o d s z y m wyrazu „pieśń“ (i nawet tam gdzie zaplanowała w języku rosyjskim, istnieje „pieśń“, jako archaizm w mowie poetyckiej); pomyliłem się istotnie co do słowa „nynie“ — taką bowiem ma być; zdaniem językoznawców, pierwotna jego forma, stanowiąca zresztą u n i k a t w polszczyźnie (a więc moja pomyłka ma za sobą okoliczności łagodzące), z „ny“ w nagłosie; przypominam to niedawno w dyskusji, naukowo ostatecznie nie rozstrzygniętej, co do nazwy „Nysa“. Z szerszego punktu widzenia postaram się uzasadnić moje stanowisko względem tych wyrazów pod hasłem „chram“.

Tego rodzaju niedokładne odczytanie tekstu krytyki zdarzyło się Dąbrowskiej jeszcze gdzie indziej, ale do

tego wrócimy przy sprawach ogólniejszych, do których właśnie przechodzimy; spór bowiem o pojedyncze wyrazy jest nudny dla jego świadków, stwarza zresztą nie odpowiadające prawdziwemu, iż moje uwagi były chwytnym za słowa przez niezyczliwego krytyka, co zmusiło pokrzywdzoną autorkę do pełnej oburzenia odprawy.

3.

Czy krytyk był „niezyczliwy“, jak to wynikałoby z ustępu, w którym Dąbrowska zgłasza chęć przyjęcia „rad i poprawek lingwistycznych — ż y c z l i w ą (podkreślenie autorki) podanych ręką“? Nie wydaje mi się, żeby autor pierwszej i, rozmiarami choćby, nieprześcignionej rozprawy o Dąbrowskiej, nie licząc innych mniej szeroki, ale zawsze entuzjastycznych wypowiedzi o jej twórczości, musiał odierać tego rodzaju zarzut; wystarczy, że zwróci uwagę na pełen czi ton, jakim nacechowane jest to pierwsze, krytyczne w stosunku do jednej gałęzi twórczości znakomitej autorki, wystąpienie tak mocno przez nią zgromione. Czy tylko czeptał się słów? Inkryminowany ustęp „Rzutu oka na literaturę 1945“ istotnie najszerszej mówi o języku, a specjalnie o leksyce „Stanisława i Bogumiła“, co w tekście jest z żalem zauważane i usprawiedliwione. W ramach broszurki uwagi o tym dramacie nie mogły być szersze, do też inne sprawy są pokrótce i zbyt zwięźle potraktowane. Nie znaczy to, żeby były pominięte i żeby moje zasadnicze stanowisko w pewnych sprawach nie zostało dość wyraźnie ukazane. Wie o tym i Dąbrowska i dlatego ataki jej na moją ignorancję językoznawczą i brak smaku artystycznego są wklejone w szeroka wypowiedź o bardziej zasadniczym znaczeniu, choć bez sformułowania w konkludującej tezie — nie od razu znaczącym się w oczy.

Najwęższej formuluje swe stanowisko Dąbrowska, powołując się na zdanie Brücknera, który „nazywa stosowanie gwary dla celów archaizacji najtrafniejszą intuicją pisarza“. Zaraz potem następuje jadowita pointa ustępu: „może to nieważne co myślał w tej sprawie Brückner“! (gdź „jeden językoznawca nie uznaje zwyczaj drugiego“). Przejrzyście ironiczne zastosowanie tytułu „językoznawcy“ (do którego nigdy nie pretendowałem!) nie dobiła mnie jednak w dziedzinie krytyki literackiej. Brückner był nie tylko wielkim uczonym, ale i krytykiem literackim (gdy pisał o nowszej i najnowszej literaturze polskiej i rosyjskiej), znacznie bardziej wpływowym niż nieomylnym, a nawet samodzielnym. Jego oceny są czasem nie do przyjęcia (także i w dziedzinie literatury staropolskiej, której był największym eksploratorem: np. odmawianie poezji „Ślętanom“ B. Zimorowicza, z czym się nie zgodzi nieuprzedzony czytelnik, nawet jeśli nie zna pięknej książki St. Adamczewskiego o tym poecie); w innych idzie on niewolniczo za zdaniem krytyki bieżącej jego czasów; a czasy jego dojrzałości i największego rozkwitu działalności, to czasy neoromantyzmu, Młodej Polski. Poetyka normalna Brücknera — a do jej zakresu, nie do zakresu językoznawstwa, należy pogląd jaki chwyt artystyczny jest dla danego celu najtrafniejszy — jest odbiciem poetyki normalatywnej, prośczej, upodobań i smaku artystycznego jego epoki. O nich wiemy dokładnie: przełożył Homera na język podhalański, ubrać króla Popiela w kierzęję podkrakowską — taki był ideał artystyczny epoki w zakresie archaizacji. Po-

dmniwano z tego współczesnie (patrz szopki Boy'a); sceptycy dowodzili, że strój chłopski mógł być kombinacją naśladownictwa szlacheckiego (tureckiego pochodzenia) kontusza ze spóżytkowaniem demobilu angielskiego (czerwonych kurtek): nie umniejszało to zapachu, który dotrwał aż w zaranie „dwudziestolecia“, kiedy właśnie ukazały się owe przekłady z Homera. Dziś one miczyjgo entuzjazmu nie budzą i może zbyt pochopnie zostały odesłane do archiwum literatury, wkrótce potem, gdy ich jako wielkich dokonań, oczekiwano. Gust artystyczny się zmienia (nie konieczne — doskonałe!) i w swych zmianach jest nieubłaganym tyranem.

W zakresie artystycznego przedstawienia przeszłości już nie tylko metody francuskiego Wielkiego Wieku są dla nas nie do przyjęcia i „Horacjusów“, „Cynny“ czy „Andromachy“ nie traktujemy jako obrazów starożytności klasycznej, ale nawet pożyteczny krok w zakresie realizmu historycznego i „kolorytu lokalnego“, dokonany za romantyzmu, nie zawsze i nie w odniesieniu do wszystkich epok okazuje się skutecznym dla wywołania iluzji prawdy przedstawienia. Przez długie lata polecana w podręcznikach literatury ojczyznej, jako najudatniejsza „walterskotyzacja“ polska, przedrukowywana aż do końca ub. w. „Pojata, córka Lizdejki“, dziś przeczytana, jest niewyczerpana skarbnicą najprzedniejszych efektów mimowolnego komizmu. Jedną z przy czyn tego — sama próba przeniesienia czytelnika w bardzo odległą epokę, w niedostępne naszej wyobraźni historycznej środowisko kulturowe z którego prymitywizm autor nie zdaje sobie sprawy. Ale Polska XI w. jest jeszcze odleglejsza, jeszcze mniej dostępna mackom historii, a jej prymitywizacja metodami neoromantyzmu nie jest konwencją aktualnie czynną i zgodną z naszymi wyobrażeniami historycznymi.

W najważniejszych ustępach swego artykułu, Dąbrowska manifestuje się jako herold młodopolskich metod odtwarzania „zamierzchłej“ (dosłownie) przeszłości. Gwara jest dla niej „arką przymierza między dawnymi i nowymi laty“ i sprawdzeniem w wyborze archaizmów: można odrzucić „gańbę“, bo autorce się nie podoba (choć „hańba“ niemożliwa w XI w., nawet przypuściwszy wpływ czeskie, gdyż, jak mnie informowali językoznawcy, i tam jeszcze nie nastąpiła podówczas przemiana „g“ w „h“), wolno natomiast użyć wyrazów gwarowych, nawet gdy ich dawność jest wątpliwa lub oczywiście nieznaczna w porównaniu z formami używanymi w języku literackim. Bezokoliczniki na „ci“ są wprowadzone jedynie dlatego, że tak pisze dziś chłopka z pod Inowrocławia (moi doradcy w zakresie językoznawstwa twierdzą, że dialektologia polska nie zna żadnego dialektu, któryby tę formę przechował, a w naszym wypadku mamy do czynienia z nieporadnością graficzną w oddaniu ó!); „Kany“ jest dlatego „bardziej ogólnopolskim odpowiednikiem słowa „dokąd“ — „i gwarowym i starożytnym“, że w „Słowniku gwar polskich“ słowo „kedy“ zajmuje półtorę kolumny „druku, a słowo „ka“ i wszystkie jego odmiany sześć i pół stron. Można tu zauważyć, że słowniki gwar zajmują się właśnie najchętniej zjawiskami wyjątkowymi, więc przytoczone przez Dąbrowską dowody liczbowe przemawiają raczej za „kedy“ jako formą normalną, ale to na pewno nie przełamie jej upodobania do malowania przeszłości barwnymi pisanek ludowych. Bardzo

wiele miejsca poświęca ona dowodzeniu tej nieodbitą prawdy, że gwary przechowały dużo archaizmów, tj. słów i form wyszłych z użycia w ogólnopolskim języku „literackim“. Nie mam żadnych wątpliwości na tym punkcie; gotów jestem jednak twierdzić, że zgodnie z ogólną zasadą większego konserwatyzmu języka posługującego się piśmem, język „literacki“ przechował jeszcze więcej „archaizmów“. Dla zrozumienia tego paradoksalnego na pozór twierdzenia musimy odwrócić punkt widzenia, posługując się następującym fikcyjnym przykładem:

Pewien Ślązak, z zapadłej wschodniej z pod zaboru czeskiego czy pruskiego, którego językiem macierzystym jest gwara miejscowa, nie zetknął się nigdy w życiu z wykształconym Polakiem, nie miał w ręku żadnego druku polskiego, lecz przeszedłszy szkoły niemieckie, w czasie studiów sławistycznych, na którymś uniwersytecie niemieckim, obiera jako specjalność — język polski. Co go uderza, znającego doskonale gwara ojczystą i posiadającego przygotowanie lingwistyczne, przy pierwszym zetknięciu się z literacką polszczyzną? Oto ogromna ilość wyrazów i form, których nie znał, a które pod soczewką gramatyki historycznej okazują się starsze, niż ich odpowiedniki gwarowe. Np. mówił: „dziecka“ (1 p. l. m.) a tu znajduje „dzieci“ i zaraz orientuje się, że jego domowe słowo (piszę to przykładowo, nie sprawdzając czy istnieje ono w gwarach śląskich) jest wynikiem świeższej w każdym języku tendencji do uproszczeń, do eliminacji wyjątków, analogiczną, wtórną formacją od „dziecko“, nie znajdującą precedensów w staropolszczyźnie, podczas gdy „dzieci“ jest odwieczna, ogólnopolską i bodaj ogólnosłowiańską formą. To samo będzie przy wyrazie „kedy“ i t. d. Słowem, nasz Ślązak znajdzie więcej, bez szkarnia, „archaizmów“ (z jego punktu widzenia) w polszczyźnie literackiej, niż my moglibyśmy znaleźć w jego gwarze.

4.

Nie zniecajmmy się jednak nad cierpliwością czytelnika, ani nad szlachetnym „chłopomaństwem“ Dąbrowskiej, którego rodowód jest starszy od romantyzmu, a które pod zbieżnym działaniem tego ostatniego („polski lud to ojciec twój!“) i naszych nieszczęść politycznych, ostatnią nadzieję składających w ręce ludu, doszło do apogeum, przynajmniej w dziedzinie artystycznej, w początkach b. stulecia. Sam w dzieciństwie spisywałem piosnećki z ust mianiek mego młodszego rodzeństwa, dziś jeszcze umiem niejedną z nich, b. piękną, daleką od banałności, podawanych potocznie za ludowość, zanućć, choć Dąbrowska w swej ekskomunice ze społecznej więzi z ludem mnie wyłącza. Nie mam zresztą żadnego „snobizmu“ na tym punkcie. Istotnie, w dzieciństwie i we wczesnej młodości, stykałem się przeważnie z ludem białoruskim. Rozleglejsze, tak bliskie i intymne, jak to jest możliwe tylko w płaszczynie koleżeństwa wojennego, współżycie z przedstawicielami ludu etnograficznie polskiego, nastąpiło u mnie dopiero w Legionach, w obozie jeńców w Szczypiornie i w wojsku polskim. Niepotrzebnie zresztą i w tym wypadku za złym przykładem Dąbrowskiej, wprowadzam personalia. Dziesiątki tysięcy osób równocześnie z Dąbrowską i w talki sam sposób stykało się z ludem; ona jedna tylko narzeka „Ludzi śmiałd“

»dezercja krytyków«

Wróćmy do metod archaizacji czy stylizacji użytych przez Dąbrowską w jej dramacie. W świetle ostatnich wyznań autorskich, w porównaniu z eksploatacją gwary, zupełnie podrzędna rolę odgrywają tu inne, znane dobrze krytykom i badaczom języka, składniki stylizacji na prapolszczyznę, które, jak mi się zdawało, są i w „Stanisławie i Bogumile” obecne. Słowa zabytkowe wchodzi tam dopiero zaaprobowane sprawdzianem gwary. Wyrazy, które wzięłam za neologizmy, znalazły się w słownikach: słowniki są obszerne i na pewno znajdzie się w nich wiele słów, z którymi nie zetknęłam się, jak żyję, więc też nie będę podejmował żmudnych poszukiwań, zadawałnając się zapewnieniem autorki, że nie ma neologizmów w jej dramacie. Zostaje jeszcze ten składnik zwykłych zabiegów stylizacyjnych „na prapolszczyznę”, który oznaczmy symbolicznym hasłem „chram”: mam tu na myśli słowa, które swym wyglądem mają sugerować czytelnikowi blizkość odwarzanej zamierzchłej epoki do jeszcze bardziej zamierzchłych czasów wspólnoty prasłowiańskiej. Brało się dlatego co dostojniejsze słowa od sąsiadów, z modyfikacjami lub bez nich (p. „kneź” lub ulubione przed 45 laty „witeź”, „chram” i t. p.), wcielało się między słowa ogólnie literackiej polszczyzny (obok archaizmów, neologizmów i zwłaszcza słów gwarowych). Słowa wskazane przeze mnie u Dąbrowskiej, mogą się wylegitymować z pochodzenia zabytkowego, ale że wybór padł właśnie na słowa takie jak „smirny”, „wieliki”, „piesnia”, (podczas gdy już wskazaliśmy, „piesń” jest starsza), a nie inne, pozwala je umieścić w psychologicznej kategorii „chramu”.

8.

Analiza i nieodłączna od niej klasyfikacja metod stylizacyjnych Dąbrowskiej nie miała żadnej tendencji dyskwalifikującej, ani ich wykrycie nie umniejsza osiągnięcia pisarskiego autora. Można by powiedzieć przeciwnie: że archaizm niedostrzegalny (którym się chwali Dąbrowska) nie jest archaizmem, powinien być „psychologicznie dany” (jak mi podpowiada jeden z mych życzliwych i uczonych korespondentów) jako „chwyt obnażony”. Mniej więcej tymi samymi czterema sposobami wzbogacenia leksyki (lub niektórymi z nich) osiągnęto bardzo dodatnie rezultaty artystyczne, że wspomnę dzieła tak zresztą między sobą różne, jak „Krzyżaków” Sienkiewicza i „Walgienza Udałego” Żeromskiego. Ale chwytom wzbogacenia leksykalnego winny towarzyszyć zabiegi eliminacyjne. O wyłączeniu wszystkiego, co jako składnik leksyczny jest oczywistym anachronizmem w kontekście stylizowanym, zapomniała Dąbrowska: i to jest pierwsza moja teza krytyczna, nie najważniejsza zresztą, bo wciąż jeszcze stosująca się do zewnętrznej formy jej dzieła.

Żeby z nią skończyć, dorzucmy jeszcze następującą obserwację. Do czynników potężnego talentu realisty, wchodzi u Dąbrowskiej także odpowiedni instynkt językowy, dzięki któremu umie ona zaopatrzyć swe postaci w mowę charakterystyczną, wiążąc obraz człowieka z zaobserwowanym wystąpieniem. Zdumiewająco subtelny, nieuchwytny rysami potrafiła np. ona oddać właściwości języka słyszane go na prowincji i po dworach w ustach ludzi starszego pokolenia, urodzonych gdzieś w połowie XIX w. Ale żaden geniusz nie jest zupełnie wszechstronny. Rekonstrukcja języka określonej epoki, bardziej odległej, niż zasięg pamięci

autorki, inaczej, swoista, twórcza w oparciu o zupełnie oderwane dane erudycji, wycobraźnia językowa, nie leży w naturze jej talentu, o ile sądzić możemy po jej dwóch dramatach historycznych.

Bez tego talentu, przedsięwzięcie napisania realistycznego dramatu (a ku takiemu właśnie skłaniała ją natura realisty), na tle dzieł Szczodrego, skazane było z góry na niepowodzenie, nawet żeby Dąbrowska wezwała do pomocy specjalistów i pilnie stosowała się do ich rad i ostrzeżeń w zakresie języka. Ale nawet gdyby się znalazł i odpowiedni talent językowy, żeby stylizacją mowy bohaterów wywierać na nas wrażenie niejakiego prawdopodobieństwa, a przynajmniej niezamierzone wrażenie czegoś sięgającego zamierzchłej dawności języka; nawet gdyby w granicach naszej wiedzy i naszego najlepszego rozumienia udało się uniknąć anachronizmów (których tyle w krótkich słowach wskazałem w „Stanisławie i Bogumile”) kulturowych, myślowych i rzeczowych (co oczywiście zubożyłoby myślowo sztukę i odjęłoby jej wszelką „aluzyjność”), to i tak stwierdzić by przyszło, że są odmęty historii (i nie tylko historii), „gdzie kończy się już pionu panowanie”, a zmieniając odpowiednio ten cytat z Norwida, gdzie zastosoowanie realizmu artystycznego, zwłaszcza w jego tak intensywnie odmianie, jak realistyczny dramat — jest niemożliwe. To jest moja zasadnicza w tym wypadku teza, której przesłanką jest przekonanie, że wszelki realizm implikuje sprawdzalność, przynajmniej w introspekcji, jeśli chodzi o życie duchowe, przynajmniej dostateczną dokumentację, jeśli chodzi o przeszłość, o zagrzebane powodzia czasu cywilizacji. Dokumentacja do oddalonego od nas o tysiąclecia Egiptu jest wystarczająca dla historyka, który, na niej wyłącznie oparty, tworzy realistyczne obrazy codziennego życia Memfis i Teb (np. Maspero); ale o Polsce z przed lat 900 mamy wiadomości tak szczupłe i ukłmkowe, że możemy w oparciu o nie tworzyć pewne hipotezy pojęciowe (hipoteza m. in. jest tylko pogląd T. Wojciechowskiego na tragiczne zajście między Szczodrym a biskupem krakowskim); zbyt wielkie luki w ciągłości naszej wiedzy o tych czasach, materiały tylko naszej fantazji „zapełniające” (proszę mi wybaczyć neologizm à la Krasieński), nie pozwalają na tworzenie obrazów, wyposażonych w pełnię życia; dane historyczne są tu zbyt szczupłymi punktami oparcia dla wyobraźni realisty *)

*) Nawet w sensie negatywnym. Np. walczą ze zczehizowanymi formami, a czyż mogą być pewien, że na dworze pierwszych Piastów nie panowała — od czasu Dobrowki — czeszczyzna? Jeszcze bardziej prawdopodobne jest panowanie któregoś z narzeczy germańskich, które musiały przychodzić z orszakiem ich żon, Niemek najczęściej, jeśli nie Rusinek. A te ostatnie mogły mówić któryś z narzeczy skandynawskich Wbrew

Tyle mniej więcej powiedziałem innymi słowy w poświęconym dramatu ustępie „Rzutu oka na literaturę 1945 r. Na szersze uzasadnienie brakowało miejsca. Tak samo i tu, nie będę podejmował dyskusji o realizmie, ani o jego stosunku do fotografii, w dosłownym (gdzie mowa o plastyce) czy przenośnym (w literaturze) znaczeniu. Nie jest to zagadnienie do rozstrzygnięcia w polemikach czasopiśmienniczych, jak pokazały jasno dotychczas, zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch lat, stoczono spory. Jeśli chodzi o pewne przyczynki do mych pojęć o realizmie (których naiwność jest przedmiotem szyderstwa Dąbrowskiej), znaleźć je można gdzieś niegdzie w mych pisaninach, m. in. w broszurze z przed lat dziesięciu: „Blaski i nędze realizmu powieściowego”, gdzie także korzystam z cennych wyznań sobowtóra autorki w „Nocach i dniach”. W granicach tych pojęć i zgodnie z mym smakiem (trudno, krytyk jest człowiekiem, ze swojej skóry nie wylezie!) oceniłem dramat Dąbrowskiej ujemnie. „Inde ira!”

6.

Pocóż jednak, zapytuje rozniewiana autorka na początku, a powtórze przy końcu swej diatryby, zajmować się dziełem „bez żadnej wartości”, „rzeczka co sama w sobie jest bledem”? Odpowiem krótko: dlatego, że jest podpisana nazwiskiem Dąbrowskiej. Bez tego podpisu — niech mi będzie wolno wyrazić najgłębsze przekonanie — ani nie byłoby drukowane na czołowym miejscu w „Twórczości” ani nie ujrzałoby blasku ramp scenicznych. Bez tego podpisu i ja nie uważałbym za potrzebne dramatem się zajmować. Są konsekwencje wielkiego mienia w literaturze!

Specjalnie obrażona jest znakomita pisarka tym, że daje jej radę powrotu do powieści. Jeśli by nawet tak było, wystarczyćby może, jako „wet za wet”, rada abym wrócił do pisania o poezjach. Dowadzać mi, że bym wrócił od pióra do szelki (co, jak to Dąbrowskiej dobrze wiadomo, jest niewykonalne z wielu niezależnych od mej woli powodów), przedstawianie mnie jako „figlarnego krytyka” naiwnego dyletanta, który niepotrzebnie chwycił za pióro, pomijanie faktu, że jest jej rówieśnikiem, także w literaturze, że już ćwierć wieku i parę lat minęło od czasu, gdy zdobył ostrog krytyka (nie zrzucając jednocześnie długo ostróg kawalerskich, ale to chyba może obchodzić tylko moich przyszłych bio-

grałów, jeśli bacy się znajdują!) — jest co najmniej przesadą odwetu: przecież nie zająknąłem się o powrocie do współdziałalności, lekceważąc wspaniałe owoce kariery pisarskiej Dąbrowskiej! Ale w dodatku i tych rad „obraźliwych” nie było wcale. Tekst mój był odczytany nieścisłe, rozniewanymi oczyma (które też wyczytały „cele ideologiczne” tam gdzie mowa o „wnioskach ideologicznych” — różnica nie mała!). Cały ten mój ustęp pozwalał sobie powtórzyć, jako próbkę tonu, w jakim pisane są od początku do końca moje uwagi o „Stanisławie i Bogumile”: „Trudno dyktować znakomitej pisarce rodzaj, który powinna uprawiać. W każdym razie wolelibyśmy jej powrót do literatury po wojnie, jako kontynuatorki „Nocy i dni” czy „Ludzi stamtąd” niż „Geniusza sierotego”, który jeszcze ma przewagę wyraźnie publicystycznego zamierzenia, usprawiedliwiającego go o wiele bardziej, niż dość niejasne wnioski ideologiczne dramatu powojennego”. Dalej, w ostatnim zdaniu mych uwag poświęconych Dąbrowskiej, mówię o powieści historycznej, jako o formie „o wiele elastyczniejszej” (niż dramat).

Jak z powyższego widać, pozwalam sobie tylko przekładać jedne dzieła Dąbrowskiej ponad inne. Czy i to jest niedozwoloną krytykowi swobodą?

7.

Polemiki między autorem a krytykiem, zwłaszcza gdy schodzą na „osobistość” (jak mówiono sto lat temu), nie wydają mi się w ogóle zjawiskiem pożądanym w literaturze: z natury rozwlekłe, takie prawowanie się o wartościowanie, przeciwstawianie subiektywnym, z natury rzeczy, ocenom krytyka jeszcze bardziej subiektywnych samoocen lub niejasnych i nieobchodzących czytelnika wyznań z zakresu procesu twórczego, publiczności wydają się sporem „de lana caprina”. Jeszcze dobrze, kiedy chodzi o drukowane teksty; ale kiedy do dyskusji są wciągane materiały z korespondencji prywatnej i z rozmów osobistych (o „Geniuszu sierotym” nie drukowałem nigdy), czytelnik jest pozbawiony możliwości sprawdzenia choćby cytatów, które, jak się w naszym przypadku okazało, nie zawsze są wierne. Dlatego nie jest to rzeczą dobrych obyczajów literackich.

Ale czego nie robi się w gniewie. Prywocność, nieumiarkowanie, w „szluzach” nawet reakcjach oburzenia, brak proporcji między doznana lub wymaganą krzywdą a wywartą zemstą, skaziły jasną chwałę wielu wielkich ludzi, od Aleksandra Macedońskiego począwszy, aż do przykładów, które znamy z naszych czasów. Ci wielcy pozostają jednak wielkimi w historii. Dąbrowska pozostanie znakomitą pisarką, mimo że

jej nadmierna drażliwość na krytykę znana jest od dawna (mogłoby przytoczyć skargi pewnego zmarłego krytyka, bardzo cierpiącego z tego powodu, ale nie zrobię tego dla podanych przed chwilą powodów). Jej podnoszony przeze mnie autorytet moralny nie umniejsza się w mych oczach, mimo, że dla ostatecznego zmiądzenia biednego krytyka, nie cofa się przed zestawieniem go z Wyspiańskim, temu ostatniemu rękując nieśmiertelność a nie jego zachwałemu bluźniercy. Bez wątplenia słusznie, Nie znaczy to jednak, bym się zapierał swych sądów, które w obszerniejszej formie wyrażałem kilkakrotnie (w sprawach np. języka genialnego scenografa, opierając się na zdaniu specjalistów); mam nawet słabą nadzieję, że zostaną one po latach wygrzebane, aby świadczyć, iż mieliśmy w Polsce także inną krytykę obok „wszystkochwalczej”.

8.

O to słowo, puszczone w obiegu przez A. Sandauera rozgorzała właśnie najświeższa polemika literacka. Przeciwnicy jego zrzucają winę na krytykę, która (cytuje „kjm” z nr 122 „Odrodzenia”) w osobie swych przedstawicieli „o wyrobionym zdaniu i piórze”) popełniła dezercję. Nie śmiem zaliczać się do tak pochlebnie ujętej kategorii, nie należę jednak na pewno do „przypochlebnych „mydłków”. A ostatnia moja przygoda na pewno nie będzie zachętą dla „dezerterów” do powrotu w stan czynny krytyki literackiej. „Hodie tibi, cras mihi”, powiedzą sobie bezsilni wobec faktu, że „twórca” zawsze „będzie się śmiał ostatni”. A być ośmieszonym — nikogo nie nęci.

K. W. Zawodźniński

P.S. Powyższe słowa „pro domo mea” są wydrukowane w tej dokładnie postaci, w jakiej zostały posłane dn. 11.IV. br., więc w miesiąc po ukazaniu się ataku M. Dąbrowskiej, do pisma, które go opublikowało. Tam bowiem należało umieścić odpowiedź zgodnie z dobremi obyczajami literatury, popartej pono przez odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy; w rozmowie z redaktorką, która zaliła się na rozmiary odpowiedzi (aczkolwiek nie przewyższającego artykułu, na który odpowiedni punkt ustawy prasowej, — na co zresztą akcentu nie kładę, jak najdalej trzymając się zawsze od sztyku prawnego i powoływania się na przepisy. Zaniepokojony zwłoką w pojawieniu się mej odpowiedzi, skoczyłem do Warszawy

Tydzień kulturalny

ZACZĄŁ WYCHODZIĆ
„TATERNIK“

Założony w 1907 r. organ klubu wysokogórskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego „Taternik“, zaczął znowu wychodzić po wojennej przerwie. Redaktorem pisma jest Witold H. Paryski. Numer pierwszy „Taternika“ podaje m. in. bilans alpinizmu polskiego, listę strat taternictwa polskiego w latach 1939 — 1947, opis zdobycia północnej ściany Deut d'Herens, wykaz nowych dróg w Tatrach, kronikę tatrzańską, wiadomości zagraniczne i notatki. Całość dobrze zrobiona — ciekawa i żywa.

Niestety — jak wynika z szeregu uwag — pismo nie ma zapewnionej egzystencji i musi walczyć z niebywałymi trudnościami finansowymi. Napawa nas to smutkiem. Okazuje się bowiem, że szkody zadane polskiemu taternictwu przez budowę tylu niepotrzebnych „ułatwień“ z osławioną kolejką Bobkowskiego na czele, są większe niż się pewnie wydawało. Mocny zryw, tak często spotykany w kołach młodzieży jeszcze przed wojną — ku wspinaczce i turystyce wysokogórskiej zamienia się w pogoń za sensacją, za możliwością urzędzenia jeszcze jednego „bekowiska“ — dla opalania się, krzyków, śmiecia. W Morskim Oku nie widzi się taterników. Przybywa natomiast stadami hałaśliwa czereda, którą nikt nie pouczył, jak ma się zachowywać w górach — czereda, dla której jedyną radością jest rzucać kamienie do wody i wrzeszczeć ile sił w gardłach.

Smutno — ale najczęściej jest to młodzież szkolna, nawet harcerze. Połowa co najmniej przybywających nie ma nawet chęci udania się do Czarnego Stawu — chyba, że ich się zachęci obietnica... śniegu. „Gdyby tam można było pojechać...“ oświadczają. Nikt — dosłownie nikt — nie chodzi na Halę Gąsienicową. Natomiast z wierzchołka Kasprowego przez cały dzień słychać nawoływania się, pohukiwania — w najlepszym razie śpiewy...

W tych warunkach grupa wydająca „Taternik“ robi wrażenie groźna żałostnych don Kichotów. A przecież ich walka jest walką o kulturę i o wielką tradycję Chałubińskich, Stolarczyków, Świerżów, Zaruskich. „Sprawa wychowania narodu polskiego przez góry — jest sprawą otwartą. I sprawie tej służy — jak dobrze jej służą — Polskie Towarzystwo Tatrzańskie. Nie można jednak wymagać, aby całe ciężary walki z niekulturą zalewającą Tatry leżały na jego barkach. P. T. T. winno mieć środki na swoją pracę. Tatry winny się stać jak najszybciej parkiem narodowym. Póki to nie nastąpi sprawa co rok przedstawiać się będzie gorzej, a nie lepiej.

MIĘDZYNARODOWY INSTYTUT
TEATRALNY

W Paryżu od 24 lipca do 1 sierpnia b. r. pod patronatem UNESCO, a pod przewodnictwem pisarza i dramaturga angielskiego Johna B. Priestleya, autora wystawionej niedawno w Warszawie i Londzie sztuki „Miasto w dolinie“ oraz najwybitniejszego reżysera francuskiego, Louis Jouvet, odbędzie się kongres przedstawicieli współczesnej sztuki teatralnej, którego głównym zadaniem będzie organizacja Międzynarodowego Instytutu Teatralnego oraz Międzynarodowego Związku Artystów Teatru (wszelkich gałęzi sztuki teatralnej).

Polskę na Kongresie reprezentować będzie Leon Schiller, który zo-

stał zaproszony przez Juliana Huxleya, stojącego na czele UNESCO. Schiller wygłosi w Paryżu odczyt informujący o stanie obecnym i zamierzeniach teatrów polskich.

HISPANSCY AUTORZY
I „BURZA“

Z okazji t. zw. „roku hiszpańskiego“, odbywającego się w większości krajów demokratycznych dla uświetnienia 400-tniej rocznicy urodzin największego pisarza Hiszpanii — Cervantesa, kierownictwo Państwowego Teatru W. P. w Łodzi zatwierdziło do wystawienia z literatury hiszpańskiej: Ferdynanda de Rojas „Celestynę“, w adaptacji P. Acharda, w przekładzie J. W. Gomułickiego, graną obecnie oraz Lope de Vega: „Fuenteovejuna“ (Owce źródła) i autora współczesnego, zamordowanego w czasie wojny domo-

wej Frederico Garcia Lorca: „Krwawe gody“.

Najbliższą premierą Państwowego Teatru W. P., po granej obecnie „Celestynie“ będzie szekspirowska „Burza“ w nowym przekładzie Cz. Jastrzębiec - Koziłowskiego, w reżyserii Leona Schillera z Karolem Adwentowiczem w roli Prospera. W przyszłym sezonie teatralnym działalność Teatru W. P. zostanie rozszerzona i na Warszawę, gdzie przejmie on kierownictwo teatryku na Królewskiej. Oby tylko „Zołnierz Królowej Madagaskar“ nie zmienił się w... „Krakowiaków i górali“!

KIEDY BĘDĄ WYDANE
TE PRACE?

Jak zwykle ciekawy dział „Not“ w „Kuźnicy“, w Nr 23 przy-

niósł uwagę godną poparcia. Jest to sprawa wydania prozy krytycznej i prac naukowych. Słusznie pisze autor (ilk): „Opublikowanie tomu poezji, tomu prozy krytycznej czy esejistycznej jest coraz trudniejsze. Podobnie jest z klasykami. Ale tu ratuje sprawę przynajmniej biblioteka poetycka „Czytelnika“ z tomami Iwaszkiewicza, Jastruna. Ważną, ratuje sprawę biblioteka klasycznych przekładów „Książki“ i ostatnio „Wiedzy“. Polską powieść XIX w. nawet prywatni wydawcy drukują dość chętnie.

Najgorzej, zupełnie katastrofalnie wyglądają możliwości publikacji naukowych z różnych dziedzin humanistyki. Ankieta „Odrodzenia“ (w pracowniach pisarzy) przyniosła informacje o arcyważnych pracach. Przypomnę dla przykładu „Monografie słownikowe“ Nitscha, słownik filozoficzny Zawirskiego, tom historyczno - literacki Wyki. O ry-

chłym ukazaniu się tych książek nawet nie słysząc“.

Chcieliśmy do tych uwag wrócić parę słów od siebie: oddawna czekamy na te rzeczy wymienione przez autora noty. Ale i czekamy także na wydanie esejów tragicznie zmarłych, doskonale zapowiadających się krytyków Ludwika Frydego czy Włodzimierza Pietrzaka. Czekamy także na opublikowanie poezji poległych poetów t. zw. „szkoły warszawskiej“ Topornickiego - Gaycy czy Baczyńskiego, którego tom p. t. „Śpiew z pożogi“ zapowiada w swym katalogu „Wiedza“. Wydaniem tomu Gaycego „Do potomnego“ zajął się „Panteon“ i jak dotąd nic nie słysząc o wydaniu wierszy tego doskonałego poety. Upominamy się tylko o zmarłych, nie zapominając o tym, że na wydanie swych prac czekają najmłodszy. Łuki w tej dziedzinie są ogromne i czas je wyrównać.

Norwid w powieści Malewskiej

Biografie powieściowe (vies romancées) mają u nas dość dawną, chociaż pozbawioną ciągłości tradycję. Zapomina się, że rzadko dzisiaj czytana Klementyna Hofmanowa, której psychologiczny artyzm niedawno rehabilitował K. W. Zawadzki, jest autorką „Jana Kochanowskiego w Czarnymlesie“, dwutomowej powieści, która wyprzedziła naówczas (1845) wiedzę polonistów o twórcy „Trenów“.

Zanim jednak przyszła moda na ten rodzaj beletrystyki, musiał ją poprzedzić wspaniały rozwój monografii historycznych w XIX w., musiał też fikcyjny zazwyczaj bohater romansu, wiele swobody dający autorowi, ustąpić miejsca bohaterowi rzeczywistemu, narzucającemu pisarzowi dość katarygiczne postulaty wydobycia osobowości i otworzenia przebiegu rozwoju wewnętrznego zgodnie z prawdą historyczną.

Równocześnie obok biografii powieściowej powstaje groźny jej konkurent: biografia ożywiona (vie rani mé), której mistrzem stanie się po pierwszej wojnie światowej w Anglii — L. Strachey, a u nas o wiele wcześniej Nowaczyński („Mikołaj Rey“, 1905). Różnica pomiędzy oboma rodzajami, zazwyczaj łatwa do uchwycenia, polega na stopniu beletrystyki, dostępczości i stosunku do źródła, wreszcie konstrukcji biograficznej. Pierwszy rodzaj święci tryumfy w wielkiej trylogii Mierzeszkowskiego „Chrystus i Antychryst“ (1901 — 1905), gdzie ożyły z pasją wydobycie postaci Juliana Apostaty, Leonarda da Vinci, cara Piotra i Aleksego. Na drugi nastąpiła moda później, głównie w okresie międzywojennym, kiedy to zaczęła się w Europie i Ameryce masowa produkcja biografii ożywionych, fabrykowanych nie tylko przez najczęściej u nas tłumaczonych pisarzy

Na naszym gruncie przeważa typ mieszany, oscylujący często między monografią, portretem literackim, a biografią anegdotalną, w której celował Boy-Zeleński („Królowa Marysieńka“, „Bałzak“). W tym zakresie posiadamy śmiało rzecz można, kilka arcydzieł: np. Nowaczyńskiego „Młodość Chopina“ i Berenta „Nurt“, oraz niemało rzeczy wcale wartościowych np. że wymienimy w przypadkowej kolejności Parandowskiego „Król życia“ (Oskar Wilde), Wołoszynowskiego „Słowacki“, J. Wasilutynskiego „Kopernik“, M. Czapskiej „Ludwika Śniadecka“, W. Hulewicz „Beethoven“. Większy akcent na pierwiastek beletrystyczny kładzie St. Szpotafiński w powieściach o Mickiewiczu: „Synowie kłeski“, „Prometeusz“, lub Zofia Kossak „Z miłości“ (ś. Stanisław Kostka) i L. H. Morstin w „Kłose Panny“, wznownym obecnie. Doskonały umiar zachowuje Alina Świdarska w powieściach o Wagnerze i Krasińskim (kończąca teraz powieść o Mickiewiczu). Dużym powodzeniem cieszyła się tendencyjnie popularna powieść Margert-Skórzewskiej „Savonarola“. Na pograniczu biografii anegdotalnej i esejju monograficznego utrzymywał swe opasłe tomy Hoesick (Słowacki, Chopin, Goethe). W kierunku sensacji i reportażu wyraźnie zmierzają Ossendowski w niepotrzebnie tłumaczonym na wiele języków „Leninie“. Zasłużoną sławę pozyskał autorowie barwnych esejów historycznych Chłędowski, Waliszewski i St. Wasylewski.

To zgrubsza było by niemal wszystko, ilościowo więc nader skromnie wobec ogromnego popytu i poczytności tego rodzaju literatury wymaga-

jącej jednak od autora doskonałego przygotowania, wglębnienia się w postać i epokę oraz niebyle jakiej erudycji, więc cech w naszym piśarstwie jak wiadomo rzadkich.

Z tym większym pręto zainteresowaniem bierzemy do ręki pięknie przez Wielkopolską Księgarnię Wydawniczą wydaną powieść Hanny M a l e w s k i e j o Norwidzie pt. „Złwio na sierpie“ (Poznań 1947, s. 415). Jest ona pierwszym literackim hołdem w 125 rocznicę urodzin tego genialnego poety o najbardziej tragicznym żywocie w naszej literaturze. Tragizm ten polegał na zupełnym zwichnięciu, przy szalonych ambicjach, wszelkich kolejno aspiracji, zamierzeń i osiągniętych życiowych nie tylko w zakresie osobistego szczęścia ale i sławy autorskiej, a z drugiej strony na absolutnym rozdźwięku i niezrozumieniu przez otoczenie poety, który znacznie wyprzedził swoje pokolenie. Jakże kuszący a zarazem trudny i niebezpieczny temat.

Wielkiego liracjonalistę Norwida uchwycić można było tylko irracjonalną metodą. To też konstrukcja autorki polegająca na niejako włączeniu się w strumień życia psychicznego poety, wydaje się śmiałą i włóściwą. Mogło to nastąpić oczywiście jedynie dzięki istnieniu zyciui się z Norwidową puścizną i długiemu obcowaniu, jak sama autorka w postawie zaznacza, z listami i dziełami poety. Postawa taka nie wolna była jednak od pewnych konsekwencji: kultu i idealizacji człowieka. Stawiając wyraźny akcent na onisie przeżycia i introspekcji, słumiała autorka plastyczność realiów, zlekceważyła celowo i świadomie te atuty, które ciesz się zazwyczaj szczególną troskliwością w biografiach powieściowych. Odrzuciła więc niemal cały materiał anegdotalny, nie zatroszczyła się nawet zbytnio o wyraźniejszą barwę środowiska, uwagę kon-

centrując na wydobyciu osobowości i ujawnieniu splątanych węzłów duszy poety. Nie widzimy więc dość wyraźnie np. cyganerii warszawskiej, łaknęlibyśmy może więcej atmosfery literackiej powstałej wokół kilku czasopism, które tak zdecydowanie wywarły wpływ na późniejszą twórczość Norwida, skąd się wywodzi też niemal cała programowa „nieczytelność“ jego utworów. Wprowadzenie natomiast np. postaci Minasowicza, dziwaka i nekrofila, doskonale świadczy o orientacji autorki w niedoświadczonym dotąd źródle oddziaływań na kształtowanie młodej organizacji twórczej Norwida.

To psychograficzne nastawienie, w całym utworze Malewskiej konsekwentne, wyraża dynamikę osobowości poety, którego postać pokazywana zawsze z przedziwną subtelnością i taktem przewija się w toku opisywanych zdarzeń bogata życiłem wewnętrznym, i własnym stylem. W powieści musiało się oczywiście rozrosnąć to co było wielką przygodą w życiu Norwida: nieszczęsna miłość do Marii Kałergis. Postać wymarzona dla beletrystów, ekscentrycznej młodej damy, rozwiedzionej milionerki która czarem swej piękności i talentem muzycznym podbija literacką i artystyczną Europę. Pisali o niej obcy, a u nas dała jej portret najpierw Aurelia Wyleżyńska („Biała czarodziejka“, 1926), a później w powieści o niej Róża Czełkowska-Heymanowa. Nie wyzyskamy, obfita jej korespondencje miał przed wojną prof. Adam Czartkowski, czy ja ocalił z pożogi warszawskiej, wątpliwe. Dotyczyła lat późniejszych i nie było w niej bodaj słowa o Norwidzie. W poczcie tytułowanych i słynnych jej wielbieli to była bowiem gwiazda, której niemal nie dostzegła. A Norwid przecież na serio wysłał o poślubieniu jej, lokując w tej nigdy nie osiągalnej i z góry straconej pozycji cały obłędny kapitał swego uczucia. Jak to wytłumaczyć? Odpowiedź jaką na to dają najświetniejsze partie książki Hanny Malewskiej brzmi: ro-

mantyczny hazard i zaślepienie miłosne. Więc nie snobizm, nie poczucie wyższości artysty i twórcy, bo Norwid wobec niej małał i nie potrafił imponować.

Te fascynujące i wartościowe rozdziały powieści przystaniające nam Norwida — poeę, każą zapomnieć czasem, że przecież to co było w nim najwspanialszym, to odkrywanie nowych idei, nowego widzenia rzeczywistości. Ale Malewska nie pisze monografi naukowej, nie sądzi ani wartościuje, nie rozstrzyga, ani ułatwia, nie tłumaczy nawet psychologicznych motywów postępowania, kreśli tylko arcysubtelnie sytuacje przeżyciowe Norwida, z których urasta portret przede wszystkim człowieka.

Czy prawdziwy? Na to odpowiedzieć można zdaje się jedynie: tak, prawdziwy artystycznie, prawdziwy w jej koncepcji. W tym wypadku to bodaj najważniejsze. Nie było by tutaj miejsca na spory, czy bardzo różni się np. od tego wizerunku, który dał w świetnej książce o Norwidzie Zygmunt Wasilewski, ani w swym doskonałym szkicu Kołaczkowski, bo mieli zgola odmienne cele.

Może większe pretensje mogłbyśmy żywić do autorki, że dwadzieścia kilka ostatnich lat życia poety skondensowała chwytem wspomnieniowym w oczach starca już mieszkającego w przytulku św. Kazimierza w Paryżu. Do głębi przejmujący opis pogodnej śmierci poety w tym przytulku zamyka żywot Norwida.

Powieść posiada wiele scen niezapomnianych, bije z niej takie współczujące i głębokie rozumienie człowieczej doli poety, jego szamotań i nędzy, co raz większej chrześcijańskiej pokory, co raz głębszego umocnienia się w wierze, że czytamy ją z przejęciem i wyczuwamy żywą potrzebę po przeczytaniu sięgnąć po tom wierszy Norwida. Piękność tych wierszy ujawniła wielokrotnie Hanna Malewska, jak ujawniła swą zdyscyplinowaną, celną, klarowną, doskonałą polszczyznę.

Piotr Grzegorzewicz

Janina Siwkowska

Kolej w Warszawie 100 lat temu

„Wynalazek statków parowych i późniejsze onemu zastosowanie siły pary do kolei żelaznych, uczynią minione za nami lata, na wieki pamiętnymi. W chwili, kiedy cała Europa i Stany Zjednoczone w Ameryce wzbogacały się w tę ważną dźwignię przemysłu i handlu, pierwsza myśl urządzenia kolei żelaznej w Polsce rzucaną została“.

Niedawno tedy, bo przecie zaledwie onegdajszego, 1845 roku, a dnia 14-go, miesiąca czerwca, w dzień sobotni, o godz. 3-ciej z południa — uroczyste otwarcie drogi żelaznej, Warszawsko-Wiedeńskiej, nastąpiło.

Na miejsce więc, przy ulicy Jerozolimskiej, skąd rozpoczyna się kolej żelazna, miejsce urozmaicone, bo pochwały się pięknością i wielkością otaczających już je tu i ówdzie budowli mieszkalnych mogące — na miejsce tedy owe, pamiętne już otąd potomnym po wsze czasy — zebrały się takie tłumy publiczności

Warszawskiej, że gdyby zliczyć wszystkich, w przyjemności chwili owej udział wzięjących — konkurs osób przewyższyłby niechybnie dotychczasowe, w historii przypadków warszawskich znane. Ach! „nowy Aparat, godzien podziwu dla swej okazałości“, cały owiązany był kwieciami. W nowej Galerii oczekiwały na pierwszy odjazd Damy oraz wiele znacznych i znakomych osób.

Wreszcie do 12-u wagonów wsiadło 200 zaproszonych gości. Zabrzmiała orkiestra, która też aż do końca podróży przytomną goścem była. Wśród okrzyków radości, łkaniem, wzruszenia u niektórych, co „drażliwych“ osób, przerywanych — ruszył tedy pierwszy pociąg z Warszawy do Grodziska. O, nikt nie zliczy skreślonych w powietrzu krzyżyków, błogosławiających znikające w oddali wagonu, unoszące pierwszych podróżnych, po prawdzie to i zdanych na łaskę żywiołu, który lubo ujarzmiony, przecie pospołu ze ślepą Fortuną — za nieodgadniony w swych intencjach,

powszechnie wydaje się być, jak dotąd, uważanym.

„Przelechno przez pierwszą stację Prusków do Grodziska, iakby lotem ptaka“. A tu zaś, w tej majątności W. Mokronowskiego, ze starych zasłużonej rodziny się wywodzącego, rozstawiono namioty, pod którymi, przy stołach staronnie zaopatrzonych, odbyło się, jako pokrzepienie po owęż rozkosznej, lubo afektacyj rozlicznych następczącej przejażdżce — „świetne śniadanie obiadowe“. O 5-cj, wyszła powtórnie z Warszawy wagon w liczbie 23 — przysporzyły jeszcze 600 biesiadników. O!... „stare Grodzisko odmłodziło, zaśmiało świeżością, gdy ięga powietrzem oddychało tyle Dam ozdobionych uwielbianymi wdziękami, a których bukiety połączyły się z bukietami tamecznego ogrodu. Nastąpiła jedna z naprzyjemniejszych przechadzek po tamecznych Gałach; echa muzyk rozlegały się nawet w dalsze okolice, a radość ozdobiła twarze wszystkich obecnych i napeniła ich serca“.

Tyle uroczą popołudnie — zeszło, jak jedno oka mgłotnia, a dzień cały „należący do tych, które w późne wieki słynne, będą w kronice Warszawy, trwał bez przerwy w przyjemnej pogodzie”. — „O godz. 8-iej, pierwszy oddział, a w pół do 9-tej wieczorem 2-gi, rozpoczęły powrót do Warszawy wszystkie wagony; a napętlający je podróżni zachowają na zawsze w pamięci tę prawdziwą przyjemność, iakiej doznali”. O „Grodzisk, owo grodziszczce, czasów Xiążąt Mazowieckich sięgające, wedle doktora Bergsoniego, uzdrowiskowego mieć miano zasługuje. W dniu tedy 14-go czerwca R. P. 1845-go, doprowadzonym zostało do szczęśliwego skutku dzieło. „którego pamiątkę lak owych niegdyś wielkich wodociągów i bitych dróg Rzymian, najodleglejsze wieki zachowają”.

Ze wspaniałego tedy Dworca Kolei Żelaznej, owej Przystani, przy drodze Jerolimskiej miejsce mającej — od roku 1845-go w świat wyruszyły poczciwi każdodziennie Warszawianie, jako i świat przysypywać im okazał się przedem gości wszelakich, tak z kraju, jako i ze zagranicy. To też zaraz z rok następną, 1846, nie koczobryżkiem się przytaskał!

„Lada wśród mroźnej zwieli
Mkną po żelaznej kolei
Lokomotywa, wagony,
Warczą koła, a zaś z rury
Bucha gęsto dym ponury
I znika wiatrem niesiony.
Na samym szczytce machiny,
Powabną z miną, z czupryną,
Skacze młodzieńcze wesoło,
Mitym śmiechem pięknej tworzy
Kogo spótką to obdarzy
A ludzi pełno w około. —

„Ej, kto ty jesteś młodzianie?”
„Czterdziesty szósty, mój panie!”

A nie w tłumokach już, po staro-
świecku, darów naniósł, jako to na-
stion a znamion wszelkiej Fortuny

oraz nieodg-dnionych smuteczków a
radości — ale filut — jaki długi po-
ciąg — tak wagony pozajmował.

Po pierwszych zaś nieufnościach —
jak się Warszawianie rozgalopowali —
to usiedzieć w domu nie mogli i choć
ce kwartał, kto odważniejszy, pocią-
giem spacerowym a darmowym — w
dni niedzielne i świąteczne kursują-
cym — do Grodziska się wietrzył, że-
by z mody nie wypaść i przy półru-
blowym z 5-ciu potraw obiedzie u
Muchowicza — Jp. Rajczaka trąbki
chromatycznej posłuchać. A jak nie
tu — to do Skierniewic nosiło i po
dziś dzień nosi Publiczność Warsza-
wską; a to do cukierni Mateusza Mor-
rat. — A dobrocie i przywileje rozja-
z-dów onych to są jeszcze i takowe, że
przy „Kassie Stacji Głównej Warsza-
wskiej odcyfrować można wywieszony
„SPIS RZECZY znalezionych w powo-
zach, na Stacjach i na linji Drogi Że-
laznej, od czasu jej otwarcia, a po
których odbiór nie zgłosili się dotąd
właściciele”. Przecie w Kantorze, to
puliiarésów, kaszmirowych szalów i
parasolków ponoć tyle, że p. Karol
Muss, szczytający się, w pałacu Blan-
kowskim się znajdującym — ogrom-
nym a bogatym składem swoim —
mógłby z tego dobytku drugi skład
filialny otworzyć!

Przecie się nikt niczym nie zraża
i gdzie Rajczak nie zadmie — a choć-
by i na końcu świata — Warszawa
leci. W październiku, roku terażniej-
szego, 1847-go, na jarmark koński w
Jędrzejowie — tyle osób pojechało,
że „sześć restauracji nie mogło nasy-
cić przybyłych, a tam gdzie Rajczak
przygrywał, po 200 osób siadało do
stołu!” Na „sztuki trzęsące!” pana
Bosco i na Teatr, mające „rozrywać”
Publiczność — nawet się nikt nie po-
kwapił!

Niech Bóg zachowa — jakie się
wszystko łatawe zrobiło! Po praw-
dzie przyznać wypada, że „jesteśmy na

drodze postępu, a zbliżenie Kolei Że-
laznej, ten postęp siłą i szybkością
parochodu popchnie” — przecie jed-
nak miare przystojną zachować potrze-
ba, by nie, rozwinać manii modnej
podróżowania, a z nią i głupstw wsze-
lakich, które się mnożą i „nasz wiek
w niebardzo korzystnym świetle wy-
stawiają”; przecie Damy angielskie
i francuskie (a niechże choć los nie
dopuszcł Damom naszym onej zara-
zy) to nawet poza wielki mur chiński
wąż i po Egipciech się błakają, „po
mephtycznych korytarzach łąząc i za-
balsamowanych krokodyłów szu-
kając”.

Przecie choć w pobliżości Foksalu
Kolei Żelaznej się znajdują — a już
lubością się stało; tedy letniskowe
pomieszkania przy ulicy Chmielnej
wabią teraz więcej, niż owe przy uli-
cy Hożej, czy w pobok Nowego Świa-
tu, a zagładanie każdodziennie na Fok-
sal w „programmacie” dniowym leży,
a to choćby przez wzgląd na targ u-
rządzony przed dworcem dla sprzeda-
ży produktów, koleją zwożonych, jak
i na ową machinę grającą, w galerii
Foksalu ustawioną, na podobieństwo
człowieka wybudowaną, która za od-
powiednim kop. kilku do korpusu
wrzuceniem — gra głośniej, jak całe
Towarzystwo Muzykalne pana Maiera.
A nie dawno, to w przedsiönku Resur-
sy Kupieckiej ukazywano „machinę
gadającą”, tyle strachu Damom przy-
sparzająca. A maszyny takowe podo-
bieństwo mają do owej sławnej pro-
fesorowi wiedeńskiego Fabera, która w
kształcie Turka, z mówionymi narzę-
dziami z kauczuku wyrobionymi, a
mlechami, udzielającymi jej tchu,
opatrzona — gadała i śpiewała — jak
najęta.

Więc kolej w Warszawie czaruje a
zniewala. A już dla zwiększającego
się bezprzestannie ruchu — odbyć się
musiała w Magistracie M. Warszawy

„licytacja na WYDRUKOWANIE i wy-
rób BILETÓW osobowych, do jazdy
dla drogi żelaznej”. Oto też dopiero
co na wieży „Dworcu” umieszczono na
cztery strony świata patrzący, a z
wieczora oświetlony, „zegar z dzwo-
nem bijącym godzinę”. Bufet przy-
tem na dworcu posilny, a dyrektor
Exploatacji drogi żelaznej Warsza-
wsko - Wiedeńskiej ustanowił traga-
rzy, na tłumoki z pieczołowitością się
rzucających; a takowi „mają czapki
mundurowe z literami D. Ż., oraz bla-
chę z Numerem na lewej ręce”; a za-
płata uiszczoną ma być „do puszek,
podług cennika na widok publiczny
w Expediturze wystawionego”.

A w wagonach pociągów spacero-
wych komu by się zachciało przeką-
sić — pod muzykę dostać wszystkiego
może, wszelako długość drogi, a brak
stosownie urządzonych porządków,
skutkiem trawienia nieprzychylny i
na przeszkodzie stojący (baczyć prze-
cie każdemu potrzeba, aby się we
wstydzie, aż po ostatni kres życia,
nie unurzał i na urągłości powsze-
chne nie naraził; o! lepiej by się nie
narodził!) — umiarkowanie a rozsa-
dek nakazuje.

Przecie jednak wzbronione jest Da-
mom zabierać pieski do wagonów! O-
Wirtembersko-Rządowe Towarzystwo
Kolei Żelaznych zjednało sobie Da-
my — pozwalając im z sobą brać fa-
woryty pieski i takowe na kolanach
trzymać, co jest dla Dam onych „naj-
większą satysfakcją, gdyż w skrzy-
niach umyślnie dla psów zbudowa-
nych, obawiały się o swoich karissy-
musów”. A w Belgii... o, ta jest tak
grzeczna, że zamyśla nawet taryfę
dla Dam obniżyć. — A stąd widać, że
zagranica nas wyprzedza. Oto też i
francuski minister wojny wykonał
„strategiczne doświadczenie”, przewo-
żąc koleją z Walencien do Paryża
6 oficerów, 120 żołnierzy i 130 koni;
„próbą doskonale udała się”.

Tedy, jak to już wyżej rzeczonem
było, Warszawa lata i laury wyczy-
nia — na niebezpieczeństwa drogi
nie zważając. Przecie co rozważniej-
sze osoby — polecają wojażujących
Boskiej Opatrzności. Oto zaonedgaj
kilka osób będących na balkonie jed-
nego z domów przy kolei żelaznej, ze-
brały zł. 9, gr. 20 na cel dobroczynny,
na intencję przybywających też dro-
gą”.

A tym parowym promienadom wto-
ruje w całej stolicy grana nateraz
bezprzestannie modna „Polka” Stefa-
niewa — z reprezentowanego w W.
Teatrze Baletu: „Przybycie, zabawa
i odjazd na kolei żelaznej” — naby-
wana chętnie w składzie muzycznym
Senewalda po cenie zł. 1. — Tedy kto
się stracha jechać — ten choć tańcuje
a przytupuje w takt dychawicznych
mlechów parochodu, a to by okazał
posłuszeństwo — nie tyle postępowi,
le nieubłaganej Modzie.

A dandysy to po nocach się turbu-
ją, pouczając wszystkie klatki móz-
gowe artykułami grzeczności, poci-
piękiej w wagonach kolei żelaznej
okazywaną być mającej; a to z pod-
ręcznika nateraz po wszystkich księ-
garniach warszawskich nagotowanego.
Nie dość na tym. Entuzjaści kolei
wszystkim porządkiem do głowy pa-
kują, „że miasto Piotrków jest już
tylko Przedmieściem Warszawy!!!”

P. S.

A „w ciągu roku 1847 przyjechało
i wyjechało do Warszawy koleją
żelazną osób przeszło 200.000, a liczb
tych co odbyły podróże na punktach
pośrednich między Ząbkowicami a
Warszawą, jest daleko znaczniejsza”.

Włóścianie, pracujący przy drodze
żelaznej Krakowskiej, lokomotywę pa-
rowcem przeważali. „W istocie nazwa-
nie to lokomotywy jest bardzo trafne
i zasługiwałyby na upowszechnienie”.

Janina Siwkowska

Stanisław Podlewski

Przemarsz przez piekło ⁹⁾

Ostatnie chwile Starego Miasta

Teraz prowadzą ich na Wolę, do gmachu
Gestapo, za kościołem. Każą wszystkim
kleknąć przed oknami. Chłopców maltretu-
ją, biją ich głowami o ściany, kopią, po-
czym wtrącają do cel. Wszystkie ściany są
tutaj pokryte nazwiskami i adresami tych,
którzy zostali już rozstrzelani.

Rano wchodzą esesmani do cel, wszyst-
kich wyrzucają na korytarz, ustawiają
dwójkami. Jest tu kilku żydów, nieprzytom-
nych z przerażenia, którzy znowu dostali się
w ręce Niemców.

Ładują wszystkich do samochodu. Basia
czuje na sobie wzrok jakiegoś gestapowca
w żółtej koszuli.

W ostatnim momencie zbliża się do niej,
bierze ją za rękę i odstawia na bok ze słowami:

— Niech pani będzie spokojna. Pani bę-
dzie żyła.

— A co będzie z nimi?

— Wszyscy będą rozstrzelani. I nim wy-
mówi te słowa samochód ruszył z miejsca.
Za chwilę rozległy się w pobliżu głucho
salwy.

LOS ODDZIAŁÓW OSŁONOWYCH

Tymczasem na Starym Mieście przez całą
noc w ruinach tkwią słabe oddziały osłono-
we. W zabudowaniach kościoła SS Sakramen-
tek siedzą por. Dzik (Okolski Tadeusz), por.
Leliwa (Sienkiewicz Stanisław) i por. Wiel-
gus ze swoimi ludźmi i 10 z A.L. Strzelają
w górę, w dół, po kilku, salwami, aby tylko
zmylić czujność npla, markować, że wszyscy
powstańcy są na stanowiskach i że nic nowe-
go nie zaszło. Umówionej rakiety, która mia-
ła być znakiem rozpoznającego się natar-
cia, — nie widać. Napięcie oczekiwania roś-
nie. Przenika ich dreszcz obawy, aby nie
zostali odcięci.

Po północy kpt. Zaremba z batalionu „Wig-
ry” wbrew rozkazowi opuszcza stanowiska i
wycoufuje się na plac Krasiańskich, przez co
odstania jedno ze skrzydeł.

Zaczyna już szarzyć. wśród murów i ruin
słychać strzelanie. Widocznie ruszyło na-
tarcie. Dlaczego jednak nie ma umówionej
rakiety, ani żadnego rozkazu? Dzik i Leliwa
ze swoimi ludźmi opuszczają po kilku godzi-
nach stanowiska i bez rozkazu maszerują na
Plac Krasiańskich. Po drodze zabierają ze
szpitala por. Romana, swojego dowódcę.

PRZEBICIE ZAŁAMAŁO SIĘ!

Na wschodzie niebo lekko się czerwieni.
W tłum uderza wieść nie do uwierzenia. Wy-
pad się nie udał, natarcie się załamało.

Co będzie dalej?

Głuchy pomruk obłądnej rozpacz przecho-
dzi od czoła przez tłumy. Odrzucają tę wi-
adomość, tę potwornie podłą plotkę, zapewne
rzuconą przez dywersantów.

Ociężale rozpraszają się sine poranne mgły.

Z daleka dochodzi szum, rośnie, potężnie-
je. Wprawne oczy rozpoznają nurkowe samo-
loty. Budzi się świadomość, że lada chwila
ukazą się nad zębami spalonych kamie-
nic „Stukasy” krążą nad zbitym tłumem, jak
stado zgłodniałych kruków. Za chwilę zacz-
ną pikować. Tysiące oczu wpatruje się w ich
pokraczne sylwetki. W przystępie najwyż-
szej rozpacz zrywa się jakaś stara kobieci-
na, wyciąga suche jak patyki, żółte jak gro-
mniczna świeca, ręce ku samolotom. „Bodaj-
byś oślepl, podlecuc!!! Piloci jakgdyby zlekli
się tych słów... Samoloty niespodzianie od-
latują.

Zwarty tłum trwa wciąż wrośnięty w nie-
wielki odcinek ruin domów Placu Krasiań-
skich, Długiej 25 i w cienkiej szyi ulicy Hi-
potecznej, wsluchany w śmiercionośną sym-
fonię. Ludzie spodziewają się, że może jesz-
cze coś się zmieni. Nie chcą powracać do
cmentarzyska ruin.

Do tego tłumy dołączają oddziały osłono-
we straży tylniej, opuszczając swoje placów-
ki. Uporczywie powtarza się ponura wiado-
mość — „przebiecie się nie udało”. Widziano
powracających skrzwawionych powstańców.
Nieśli zabitych

Dowódcy oddziałów i kolumn pytają majo-
ra Rogę, co dalej robić. Lada moment znów
mogą nadlecieć samoloty i obrzucić bombami.
Położenie rannych staje się tragiczne.

Około godz. 6-tej polecono żołnierzom i sa-
nitariuszkom wracać z rannymi do dawnych
miejsc. Przy barykadach, w wąskich prze-
ściach powstają zatory. Rannych przenosić
trzeba górą.

Wiele barykad i placówek było głuchych
i niemych, tego ranka. I dziwnym zarządze-
niem losu niemcy o tym nie wiedzieli. Mogli
bez walki zająć całą Starówkę.

Dowódcy zaczynają wracać na swoje pozy-
cje. Por. Prymus (Inż. Chorzewski Jerzy),
który teraz zastępuje kpt. Trzaskę, stwierd-
za, że niektóre stanowiska na jego odcinku,
są nieobsadzone. Zaczyna zbierać gorączkowo
z największym trudem żołnierzy. U wszyst-
kich napotyka na ogólną depresję i zniechę-
cenie. Jawnie odmawiają wykonania roz-
kazów. Nie może skłonić ppor. Wiarusa do
odwrotu na swój pododcinek, również por.
„Leliwa” wręcz odmawia powrotu na dawne
stanowisko.

Za wszelką jednak cenę pozycje trzeba
obsadzić. Wreszcie udaje się Prymusowi ze-
brać kilku ludzi. Nadchodzi por. Dzik, d-ca
batalionu W.S.O.P. Biegiem wysyłają żołnie-
rzy do kościoła św. Jacka. Dzik wraz z sze-
ściu ludźmi obsadza rejon ul. Bolesć, a Pry-
mus prowadzi tyluż ludzi do kościoła N. M.
Panny na Nowym Mieście. Żołnierze powoli
wracają na dawne stanowiska. W wielu miej-
scach zrozpaczona ludność wita ich sarka-
stycznymi okrzykami, groźbami, złorzecz-
niami i przekleństwami: „Toście tacy nasi
obrońcy? Opuściliście nas nic nie mówiąc.
Pozostawiliście nas na pastwę niemców, na
zagładę... Szubrawcy, sprawcy naszych nie-
szczęść... Nie udało się wam ucieczka. Będzie-
my zdychać razem”.

Probuje tłumaczyć, łagodzić. W pobliżu
czołowych barykad, na niektórych kamieni-
cach ukazują się białe flagi. Kto mógł je wy-
wiesić? To cywilna ludność, czując, że już

nie zdoła uratować Starówki, chce rato-
wać swoje życie. Przy proteście i rozpacz
mieszkańców, powstańcy zrywają te flagi.

„Oni nas teraz zamordują, a wy nas nie
obronicie!” —

Ludność dużymi grupkami na drugą
stronę barykad. Idą na niechybną śmierć.
Nikt nie ma siły temu zapobiec.

W tych tragicznych chwilach uśmiechnęło
się szczęście do powstańców. Niemcy nie
zorientowali się i nie wykorzystali najodpo-
wiedniejszego momentu. Gdyby przypuścili
normalne swoje natarcie, nie wytrzymałaby
wiotka osłona. Kilka samolotów bombowych
mogło znieść zbitą masę obrońców i ludności
w wąskiej gardzieli ulic. Wszystkie oddzia-
ły powstańcze zdążyły zająć dawne stano-
wiska. Szkielet obrony był nie naruszony.

Powstańcze placówki, tkwią w ruinach
Ratusza, trzymają Bank Polski.

Jest w naszych rękach ogród i Pałac Kra-
siańskich, linia stanowisk biegnie przez Świę-
tojerską, trzymana jest Bolesć. Kamienne
Schodki, trzyma się jeszcze Stary Rynek oraz
pół Miodowej i Podwale.

Około południa na odcinek „Trzaska” zja-
wia się pplk. Mściśław (Pacek Franciszek).
Wysoki i barczysty mężczyzna, z którego po-
staci bije upór i zaciętość. Oznajmia, że
obejmuje dowództwo odcinka. Kapitan Trza-
ska zapewne zginął przy próbie przebiccia
się do Śródmieścia. Przynosi nadniespodzie-
wanie radosną wieść.

„Drugiego września Czerwona Armia na-
 pewno wykona generalny szturm na War-
szawę, będziemy uratowani. O żadnym wy-
cofaniu niema mowy. Trzeba trwać, to je-
dyny nakaz chwili, jedyna możliwość ocale-
nia”. Mówi to z największym przeświadcze-
niem i wiarą. Nikomu nie przyjdzie na myśl
wątpić w jego słowa. Każdy chwytą się tej
wieści, jak ostatniej deski ratunku.

D. c. n

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na wszelkie zagadnienia życia współczesnego. politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwą miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO“ TRAGEDIA LASU

Krzywdą zwykle wywołuje reakcję, rodzi bunt. Z inicjatywy wyrządzonej mi krzywdy powstał ten artykuł. Otóż: pewnego ranka rąbiąc gałązki, zostałem wyśmiany przez gospodarza dość poważnie, że teraz jest wolność, że potrzeba całkiem źle mieć w głowie, żeby takim chrustem, takim śmieciem palić w piecu.

Kiedy zmęczony usiadłem sobie na progu sieni nasunęły mi się refleksje o tragiczności naszych lasów. Chłop, ten polski chłop o przyszłowiowym trzeźwym rozumie, zwątpił w moją rację, która kazała przywieźć mi z lasu chrustu i tym opalać kuchnię — kiedyż wolno drzewo opalowe mieć do wyboru; proste, bez seków, żeby się dobrze łupało. Ot tak — najmniej pracy.

Urzędowe statystyki podają, że wojna przetrzebiła las tak, że przy normalnej gospodarce starczyłoby go na lat 17. Zostało wyciętych 118.000.000 mtr. sześć. Lecz mimo wszystko potrzeba przyznać, że wojsko lub inne jakiejś formacje nie robiły wyrębów na własną rękę. Przynajmniej ja tego nie spotykałem.

Obecnie jesteśmy po wojnie „ludzkiej“, ale trwa wojna z lasem. Z przykrością trzeba stwierdzić, że dotychczas wiele placówek, stojących na straży dobra państwowego — korzystało z lasu bez opłat, bez kwitu, bez asygnat. Co gorsze, to sedno zła tkwi w tym, że na to konto jedzie do lasu legion złodziei. Zły przykład działa demoralizująco, rośnie jak rajska ogród.

Kto temu winien? Kto za taki stan rzeczy ponosi odpowiedzialność? POCO są gajowci, leśnictwa? Żeby otrzymywać pobory, deputaty i przydziały z UNRRA.

Rozumiem dobrze tragiczną sytuację tych ludzi.

Wobec zbiorowej złości woli gajowci są bezradni i bezbronni.

Zapewne, nikt nie będzie jadł surowego, więc musi gotować. W tym wypadku władze samorządowe z leśnictwem powinny zdecydować, komu sprzedać zbiorke gałęzi, tańszą sprzedaż wyrzutow pni. Dotychczas nikt na to nie zwracał uwagi. Wsie, które mają swój las, najbardziej niszcza państwo. Przywozi jedną sztukę ze swego, a dziesiątki z rządowego. Rabunek. Wozni ten na opał, a ów na budulec, a reszta dlatego, że wożą tamci. Zle pojęta wolność.

Dla przykładu przytoczę miasto Chełm, które ma swój „Borek“. Niemcy wycięli gruby drzewostan. W kilka tygodni ludziska wydarli pniaki, pozostała tylko w różnym wieku kultura sosny i dębu. Jesienią wystarczyłoby któregośkolwiek dnia wyjść przed wieczorem pod las i zobaczyć, ileż to wózków ręcznych jedzie z tą „kulturą“ sosny lub dębu do miata. Wprost nieobliczalne marnotrawstwo, jeśli nie pospolita zbrodnia. W porównaniu wygląda to tak: że człowiek, który ma zjeść 1 kg. dojrziałego jabłka, czyli 6 — 8 sztuk, dziś zjada 120 — 150 dwutygodniowych zawiązków.

Proszę mi powiedzieć, dlaczego nikt na to nie zwrócił uwagi? Nie wywoła reakcji?

Jeżeli rząd tej biedocie proletariackiej nie może sprowadzić w dostępną cenę węgla, to trudno. Ale... ale proszę zobaczyć pierwszą lepszą wieś, gdzie stopy drzewa gniją pod płotami w pokrzywach od lat. Na drzewa obgnię zwozi się inne na zgnicie na zapas. Cyniczne marnotrawstwo.

Tymczasem... kto ubiegłych zimdestarzał opału do szkół? Gdzie jest samorząd gminny i gromadzki? Do załatwienia spraw opałowców.

Dzieci licho odziane będą marzły, tupaly, chuchały, plakały. Nauczyciel ostro zapowie: „Kto nie przywiezie drzewa, niech od poniedział-

linii. Gajowcy mija zdala zuchwałych... złodziei.

Pod Bogiem mogą powiedzieć, że zam jednego chłopca, którego ojciec zginął w obozie, że siedział tydzień po za szkołą, aż „postarał się“ drzewa.

Wiosną, gdy złote słońce ogrzeje ziemię i przysną koszarne widma ziembu — wtenczas nauczyciel zbierze dzieci, że śpiewem pójda na obchód „Dnia Lasu“. Przecież protektorat nad tym objął...

Jesienią zaś we wsi zady mi kilkadziesiąt „krematoriów“ u plantatorów tytoniu. (Są wsie, gdzie jest po 100). Przydzielony węgiel do suszarni został sprzedany kwitem na miejscu.

Tragedia lasu trwa!

Zygmunt Poński

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO“ TRANSMISJA NABOŻENSTW

Jest piękną tradycją Polskiego Radia, że transmituje co niedzielę i co święto nabożeństwa z naszych świątyń. Jest to sprawa niemałego znaczenia dla muzyki kościelnej, tej tak ważnej części narodowej kultury muzycznej. Toteż odpowiedzialność za poziom transmisji, jaka spada na proboszcza, organistę i chór kościelny, nie jest wcale taka drobna. Na podstawie dotychczasowych transmisji nasuwają się następujące krytyczne uwagi:

1. Mszę św. winien celebrować w razie transmisji nie tyle dostojnik, ile kapłan, choćby najmłodszy, posiadający dobry głos i znający dobrze liturgię oraz kościelne tony muzyczne, bądź gregoriański, bądź piotrkow-

ski, czyli polski, a organista i śpiewacy winni odpowiednio wykonywać responsoria; jest niedopuszczalne, ażeby jakikolwiek kapłan „popisywał się“ tonem przez siebie wynalezionym, fałszując niemiłosiernie nawet prefacje.

2. Chór kościelny śpiewający na nabożeństwie transmitowanym, winien stać, jeśli nie na wybitnym, to co najmniej na dobrym poziomie, wykonując dzieła w pierwszym rzędzie polskich autorów, nie pomijając naszych klasyków oraz mistrzów rzymskiej i innych szkół; wykonywanie dzieł niemieckich autorów należy uważać za niewskazane. Jak do świadczenia wykazuje, wychodzą najlepiej śpiewy a capella, których ogół organistów niestety nie lubi, sądząc błędnie, że wykonywanie takich utworów czyni ich zbędnymi, a czasem akompaniament organowy jest tylko pokrywaniem niedostatecznego przygotowania chóru. Ażeby nie działa się krzywdą ani wspaniałym dziełom, jakimi są utwory a capella, ani organistom, zaleca się, ażeby organista — naturalnie dobry — miał okazję wykazywania swej sztuki na dobrych organach (nierozstrojonych, a pilnie pielęgnowanych) w preludium i postludium nabożeństwa.

Przy transmisjach nie wolno pomijać śpiewu ludowego. Nie zgadza się z naszym odczuciem i poczuciem religijnym i narodowym, jeśli na Pastercie wykonuje się chorał gregoriański, albo mszę obcego autora. Na Pastercie najodpowiedniejszym śpiewem są polskie koleje. Transmisja nabożeństwa z pięknym śpiewem i dobrym kazaniem podniesie na duchu wiernych i rodaków rozproszonych po wszem świecie — a może i niewiernych.

Ks. Wacław Faustman, proboszcz
Kaźmierza k. Poznania

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO“

MATURZYŚCI Z POWOŁANIEM NA POMORZE ZACHODNIE;

Lud polski na Ziemiach Odzyskanych woła o kapłanów. Dzieci pozostają bez chrztu, bez I Komunii św. Wierni umierają bez ostatnich sakramentów św.

Przytoczę choćby jeden przykład. Kazano mi przejśćwo przejeżdżać na Pomorzu Zachodnim placówkę, zagrożoną przez sektę. W promieniu 50 km nie ma księdza. Zawszad zażędzają furmanki z prośbą, bym jechał z postugą kapłańską. Stale byłem więc w rozjazdach. Z furmanki wchodziłem na furmankę. Ponieważ mam chore płuca, długie jazdy w zimnie i deszczu, zaskoczyły mi poważnie. Dostałem krwotoków. Gdy wróciłem z pewnego objazdu krew rzuciła mi się obficie. W czasie krwotoków wchodzi do mego pokoju 3 gospodarzy w wieku około lat 50 i proszą aby do nich jechał. Mówili że od dwóch lat są na Pomorzu Zachodnim i jeszcze u nich nie był żaden kapłan. Dzieci pozostają bez chrztu, bez nauki religii, bez I Komunii św., małżeństwa żyją bez ślubów, chorzy i starzy umierają bez sakramentów św., nie mieli jeszcze ani razu mszy św. Gdy im wskazałem na swój stan i przeproszałem, że jechał tam razem nie mogę, zaczęli płakać (dosłownie) i narzekać na swoje osierocenie. Gdy widziałem iż spływające po twarzy poważnych gospodarzy, iż z tęsknoty za Bogiem i kapłanem, umyłem krew, nabrałem wody i natychmiast pojechałem. Stan mój jednak pogorszył się do tego stopnia, że musiałem niestety całkowicie opuścić posterunek.

Nie mogę już niestety pomóc naszym ludowi. Tyle tylko, że wołam do maturzystów, którzy czują powołanie do służby Bożej. Ruszajcie na Zachód. Tam was Bóg woła, tam giną dusze polskie, stęsknione za Wami!

MATURZYŚCI

posiadający licealne świadectwo dojrzałości, pragnący się poświęcić służbie Bożej jako kapłani świeccy, mogą zgłosić się do Wyższego Seminarium Duchownego w Gorzowie n. W. (Ziemia Lubuska), ul. Łokietka 18. — Przyjmuje się również maturzystów bez znajomości łaciny.

Do podania o przyjęcie należy załączyć:

- a) życiorys,
- b) świadectwo dojrzałości,
- c) metrykę chrztu św.,
- d) 2 fotografie.

Szeroki horyzont

Zachód na drogach świętości

„Catholic Herald“ rejestruje kanonizację szwajcarskiego chłopca, ojca dziesięciorga dzieci, żołnierza i pustelnika. Jak zazwyczaj uroczystości w Rzymie święte — pielgrzymi z całego świata, szczególnie z Szwajcarii, urzędowi przedstawiciele sześciu kantonów, wszyscy szwajcarscy biskupi.

Innym, świeższym powietrzem oddycha się spotykając choćby małe wzmianki o Świętych Pańskich. Ow kanonizowany chłopiec w „ciemnych“ latach 15-ego wieku (1417 — 1487) potrafił dobrze wychować dziesięciorgo dzieci, walczył jako żołnierz, być mistykiem i członkiem czynu, politykiem (za jego radą Fryburg przyłączył się do konfederacji szwajcarskiej), cudotwórcą wizjonerem i pokój czyniącym (około 1470 r. uśmierzył on swą powagą wojnę domową w Szwajcarii).

Taki, istic romantyczny żywot prowadził święty Mikołaj z Fline, którego Ojciec św. wyniósł na ołtarze w wigilię Wniebowstąpienia Pańskiego bież. roku. W dniu tym nietylko Szwajcarzy, ale i wszyscy katolicy otrzymali oficjalnie nowego opiekuna i przyjaciela. Ze wskazani jego najaktualniejsza jest chyba modlitwa i baczność przed fałszywymi prorokami. Ostrożnie przed nimi przepowiadając Reformację Lutera.

W tymże „Catholic Herald“ widzimy obrazek z procesji z Brukseli. Wokół relikwii Krwi Chrystusowej tłumy ludzi. Z przodu idą aktorzy w kostiumach epoki odtwarzający sceny ze Starego i Nowego Testamentu. Aktorzy ci przeważnie mają głębsze powody do swych produkcji. Np. w zeszłym roku aktor niosący krzyż czynił to jako pokutę za napisanie i wydanie gorszącej książki. Przydałoby się coś takiego i u nas.

Tak, to jest katolicyzm praktyczny, poważny.

I o innym fakcie poważnego traktowania katolicyzmu dowiadujemy się z tegoż pisma. Oto kapitalista angielski Alan Turner, który kontroluje grupę 6-ciu fabryk w różnych miastach Anglii i zatrudnia w nich wielu pracowników, poważnie potraktował encyklikę „Rerum Nowarum“. Prywatnie jest ojcem dziesięciorga dzieci. Majdański żąda u nas tego samego. Jako przemysłowiec Turner kieruje koncernem przedsiębiorstw w taki sposób, że inny przemysłowiec wyraził się, iż najważniejszą nazwą dla jego zakładu byłaby „Rodzina Turnera“.

„Polityka nasza, powiedział kiedyś Turner w wywiadzie — polegała zawsze na kierowaniu dochodów z powrotem w przedsiębiorstwa i na wynagrodzenie robotników. Z wszystkich punktów widzenia było to zawsze pomyślane“.

W każdej fabryce jest czynny komitet zakładowy, który rozstrząsa i radzi nad każdą sprawą, dotyczącą dobrobytu firmy, robotników i przedsiębiorcy. W taki sposób robotnicy Turnera zaprowadzili u siebie, najpierw w Anglii, krótszy tydzień pracy. W zakładach panuje rodzinna atmosfera serdeczności, zaufania,

wzajemnego szacunku. Wynagrodzenie dla robotników jest tak wysokie, że nigdy nie potrzebują się obawiać o przyszłość swych rodzin.

Opieka nad robotnikiem obejmuje wszystkie dziedziny. Kontakt z rodzinami utrzymują specjaliści urzędnicy. Komitet fabryczny troszczy się nawet o rozrywki. Sam Turner kręci dla robotników filmy własnej produkcji. Brat jego, dyrektor zakładów w High Wycombe jest drugim saksofonistą orkiestry zakładowej w czasie zabaw. Mają własną operę, która wstawiała się premierami oper Jana Straussa w Anglii.

„W każdej z naszych fabryk mamy kluby młodzieży, zarządzane przez samych młodych członków... Mamy własne kabarety, sale koncertowe, teatr, komedje muzyczne. Niedawno zajęliśmy na tydzień Wielki Teatr w Derby i zebraliśmy z produkcji 670 funtów na dobroczynność“.

„Posiadamy specjalne szkoły dla dziewcząt (robotników), w których uczą się one wszelkich umiejętności gospodarstwa domowego. W Technicznym Kolegium w Derby mieliśmy specjalne kursy dla naszych pracowników. Nasi przyszli robotnicy wychodzą z tej właśnie sławnej szkoły. Uczą się tam podstaw swego rzemiosła, są zachęcani do pracy nad zrozumieniem tego, co robią.“

„Polityka nasza stara się włączyć wszystkim naszym robotnikom całkowite zrozumienie wykonywanej pracy oraz poczucie godności i wiary w wartości funkcji każdego pracownika“.

Prowadzący rozmowę dziennikarz oglądał po wywiadzie kolorowy film produkcji Turnera, zatytułowany „Rodzinny interes“. Pokazuje on drobiazgowo życie zakładów i korzyści, jakie z nich ciągnie robotnik i właściciel. Dlaczego fabryka jest zorganizowana na takich zasadach? Na to ukazuje się biust Leona XIII, a poważny głos wyjaśnia, że te zasady były częścią wizji i pragnień wielkiego papieża; przedsiębiorcy i robotnicy powinni je wypełnić.

Większość robotników Turnera jest niekatolicka. Wszyscy jednak mają dobrą wolę i dlatego udało się im to, co w kapitalistycznym świecie uchodzi za niemożliwe: braterstwo robotnika i właściciela.

To też na uroczystym obiedzie z okazji 50-iej rocznicy założenia zakładów Turnera, na którym zgromadziło się 100 czołowych angielskich przemysłowców, uznanie zyskał toast Jezuitów O. Christie, który rzekł: „Musimy wreszcie przestać myśleć o grupach przemysłowców jako grupach panów szefów, czy kapitalistów, a uciąć ich czynności terminem powołania... Jeśli przypadkiem przemysłowcy nie uchwycają godności, jaka zamyka się w chrześcijańskim pojęciu ich pracy, to, słusznie będzie można powiedzieć, że zagubiliśmy wszystko, co było najlepszym w dawnym osobistym stosunku pracodawcy i pracownika, a nabyliśmy tylko to, co brzydkie i nietudkie w rewolucji przemysłowej“.

„Tablet“ przypomina wielkość Daniela O'Connella w setną rocznicę jego śmierci. Był okreśłany, w arty-

kule pośmiertnym przez „Tablet“ (przed stu laty!) jako „wielki wódz Katolik, Oswobodziciel Irlandii, pogromca angielskich meżów stanu, przewodnik przeszłości, nadzieja przyszłości“.

— Na swoje czasy, czasy okropnego ucisku ze strony Anglików, nędzy, zacofania i demoralizacji całego narodu irlandzkiego, O'Connell wyrasta rzeczywiście do rozmiarów olbrzyma politycznego, narodowego i społecznego. Wywoływał on przestrach i podziw angielskich meżów stanu nie wyłączając Disraeli'ego, mimo, że został on nazwany w parlamencie przez O'Connell'a „prawowitym dziedzicem bluźnierczego złodzieja, który umarł na krzyżu wraz z Chrystusem“.

O'Connell całe życie poświęcił walce z uciskiem angielskim. Potrafił dokonać rzeczy prawie niemożliwych, bo uświadomił narodowo Irlandczyków, potrafił ich skupić i zorganizować. Wiece, przez niego zwoływane budziły postrach i podziw swymi tłumami, postawą, rezolucjami. A przeciw lud irlandzki według Swifta, był „bez przewodników, bez dyscypliny, bez śmiałości“. Dzięki usilnej pracy, bez pomocy, O'Connell sprawił to, że Irlandczycy wybrali go do Parlamentu, gdzie też walczył o prawo samodzielnosci i wolności dla swego ludu. A walczył tak dzielnie, że głos jego był słyszany wszędzie i budził wielki odźwięk nawet u przeciwników.

Około 1830 roku założył O'Connell „Dublin Review“ pismo katolickie dla zrównoważenia antychrześcijańskiej prasy. Do spółki z biskupem Wisemanem przez długi czas szerzył myśl katolicką. W 1843 roku wtrącono go do więzienia z którego wyszedł na skutek interwencji Izby Lordów. Przed śmiercią wszyscy wrogowie i przyjaciele otoczyli go serdecznością i podziwem. Montalembert na czele delegacji wyraził mu uznanie Francuzów nietylko jako oswobodzicieli Irlandii, ale także jako meżowi chrześcijańskiemu.

O'Connell umarł w roku 1847 ku wielkiej rozpacz całej Irlandii. Prawa, o jakie walczył miały być przyznane Irlandczykom dopiero wiele lat później.

Charakterystycznym rysem działalności O'Connella była jego wiara w skuteczność walki parlamentarnej, demokratycznej. Był on przeciwnikiem powstań i rewolucji. Twierdził, że najwspanialsze reformy nie są warte jednej kropli ludzkiej krwi. I rzeczywiście na drodze parlamentarnej i politycznej osiągnął niesłychanie dużo. Sam charakter, postawa i słuszność walczącego ogółu są najlepszą siłą w walce politycznej.

Innym rysem jego był brak jakiejkolwiek ciasnoty. Ośrodkiem jego działania była Irlandia, ale obwodem, cały świat.

Długo odmówił on autografii carrowi rosyjskiemu, który gnębił Polskę.

U nas O'Connell mało jest znany. A jednak zastanawiające są pochwały jakie o nim na jednej z audyencyj wygłosił — papież Pius IX. Nazwał go wielkim bojownikiem religii i kościoła, Ojcem swego kraju i chwałą całego chrześcijaństwa.

Zj.

Redagują: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727. Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5, m. 4.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i sobót, godz. 12.30 — 13.30.

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Przenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych.